



AGONIA

**Joseph Henri Rosny**

# Agonia

*Przekład: Żyta Orszyn*

## I. APEL O POMOC

Przeraźliwy północny wiatr ustał. Jego złowróżbne wycie już od piętnastu dni przepełniało mieszkańców Oazy smutkiem i grozą.

Trzeba było postawić przeciwburzowe namioty i porozwieszać nad uprawami elastyczne krzemowe osłony. Teraz wreszcie zapanował spokój.

Targ, strażnik Głównej Stacji, ucieszył się tak, jak mógł się tylko radować człowiek w odległej, boskiej, świętej Epoce Wody.

Patrząc na drzewa, przeniósł się myślami w czasy, w których planetę w trzech czwartych oblewały oceany. W których z ziemi były niezliczone źródła. W których rzeki były rozlewne, a jeziora i trzęsawiska niezgłębione. Ileż wtedy było roślin, ile zwierzyny! Nawet w najtajniejszych zakątkach mórz kwitło życie, a splątany gąszcz wodorostów zajmował takie w nich przestrzenie, jakie na lądzie zajmowały leśne ostępy, prerie czy sawanny. Przyszłość otwierała wówczas przed każdym stworzeniem swe bezkresne perspektywy, zaś człowiek tylko w koszmarnych snach mógł doświadczyć tego, co stało się chlebem codziennym dla Ostatnich Ludzi, którzy drżąc z udręki oczekiwali Końca Świata. Czyż szczęśliwi Przodkowie mogli choć przez chwilę przypuścić, że Koniec ów, jeżeli już nastąpi, nie będzie nagły? Że agonia ziemi będzie tak powolna? Trwająca tysiąclecia?

Targ popatrzył na niebo, którego od niepamiętnych czasów nie przysłaniały chmury. Ranek był jeszcze dość świeży, ale w południe Oaza stawała się piekłem.

– Czas na żniwa – wyszeptał.

Cerę miał smagłą, oczy i włosy czarne, dużą klatkę piersiową – jak wszyscy Ostatni Ludzie – niesamowicie płaski brzuch, wątle ramiona i omal zanikającą dolną szczękę. Siłą napędową jego życia nie była już moc mięśni, lecz inteligencja i spryt. Odziewał się w ściśle przylegające do ciała, miękkie i ciepłe tkaniny z mineralnego włókna. Wklęsłość policzków i pełne smutnego żaru oczy podkreślały jego postawę, wyrażającą nieustanną obawę człowieka skazanego na zagładę.

Zapatrzony w łąn wysokiego zboża, w prostokąty sadów, w drzewa oblepione owocami, w drżące listowie, wykrzyknął:

– O czasy odległe i boskie! O poranki przepiękne młodej, pokrytej zielonym kobiercem Ziemi!

Główna Stacja wznosiła się na granicy Oazy i zamarłego pustkowia. Ze swego stanowiska Targ dobrze widział zło-wieszczy krajobraz – mieszaninę krzemu i metalowego kruszcu zalegającego równinę ciągnącą się hen, aż ku łańcuchowi ogołoconych, dotykających szczytami nieba, gór. Nie pokrywała ich śnieżna czapa. Nie były skute lodowcami. Z ich stoków nie spływały potoki. Na ich przełęczach nie rosło ani jedno źdźbło trawy, ani jedna kępka porostów.

W tej krainie śmierci, Oaza, wraz ze swymi plantacjami i domostwami pokrytymi metalowymi dachami, stanowiła godny pożałowania punkcik.

Targowi zaciążyła martwota pustkowia i władcze wypiętrzenie gór.

Melancholijnie spojrział na kopułę Głównej Stacji, z której, aż ku skalnym żlebom, smużyły się czułe jak siatkówka oka – łącza.

Odbiorniki stacji automatycznie przytłumiające odgłosy z miejsc nie wymagających interwencji strażnika, informowały, co dzieje się w każdym zakątku Oazy.

Targ kochał tę kopułę. Stanowiła dla niego namacalny dowód, iż mimo wszystko – człowiek na tym padole jeszcze się liczy. To od niej oczekiwał wsparcia, kiedy duszę jego zalegał kamieniem smutek.

Nagle dobiegł go jakiś głos. Drgnął, ale natychmiast uśmiechnął się: na platformę Stacji wspinała się smukła młoda dziewczyna o ciemnych jak zmierzch oczach i rozpuszczonych włosach. Strażnik popatrzył na nią czule: była to jego siostra, Avra.

Tylko przy niej udawało mu się czasami przeżywać chwile – wspaniale zaskakujące – pewności, że gdzieś tam jakieś tajemnicze moce czuwają jeszcze nad ludźmi, próbując ich ratować.

Avra odwzajemniła uśmiech.

– Co za piękna pogoda, Targ. Rośliny muszą być szczęśliwe!

Zaczerpnęła przesyconego wonią zielonych liści powietrza. Oczy jej błyszczały jak rozżarzone węgle.

Nad koronami drzew przesybowały trzy ptaki. Usiadły na brzegu platformy. Skrzydła połyskiwały im ametystową glazurą, brzegi lotek ciemnym fioletem. Ich łebki były zaskakująco duże, a krótkie dzioby krwistoczerwone jak ludzkie wargi. I wyraz oczu miały prawie człowieczy. Jeden z ptaków wydał z siebie artykułowany dźwięk. Słyszając to, Targ zaniepokoił się. Schwycił Avrę za rękę:

– Zrozumiałaś? Ziemia drży!

Już od dość dawna żadna z Oaz nie zginęła z powodu trzęsienia ziemi. Ich ilość i pustosząca siła wyraźnie ostatnio zmalały. Avrze, choć jak i brat zaleknionej, przyszła do głowy dziwaczna myśl:

– A może teraz trzęsienie ziemi nie przyniosłoby nam zguby, tylko korzyść?

– Jakże to?

– Mogłoby spowodować, że ponownie pokaże się woda!

Targ marzył o tym skrycie. Nie zwierzał się nikomu, bo skazanym na zagładę ludziom każda wzmianka o trzęsieniu ziemi przypominała apokaliptyczny, niszczycielski bunt planet.

– Więc i ty pomyślałaś o tym? – wykrzyknął przejęty. – Nie zdradź się z tym przed nikim. Rozdrażniłabyś tylko wszystkich.

– Nie powiedziałabym o tym nikomu, prócz ciebie.

Nadfrunęły inne ptaki, zaś te, które wcześniej usadowiły się obok Targa i Avry, drobiły niecierpliwie. Młodzieniec powiedział coś do nich, posługując się ich mową. Ptaki te bowiem miały już tak rozwiniętą inteligencję, że używały języka, tyle, że tyczył on wyłącznie konkretów, nie posługiwały się jeszcze pojęciami abstrakcyjnymi, nie potrafiły też wnioskować o przyszłości.

Od czasu, kiedy przestano na nie polować, żyły szczęśliwe i nawet przez chwilę nie przyszłoby im na myśl, że wszechogarniająca zagłada, mogłaby dotyczyć także ich. W Oazie hodowano tysiąc dwieście ptaków. Były wysoce użyteczne. Miały instynkt, który człowiek od dawna zatracił.

Pozbawieni go Ostatni Ludzie znaleźli się w mocy zjawisk, których przy pomocy aparatów odziedziczonych po przodkach ani nie mogli przewidzieć, ani przyczyny zrozumieć. Posługiwali się zatem ptakami. Gdyby kiedykolwiek zniknęły z powierzchni planety, Ostatni Ludzie pogrążyliby się w najczarniejszej rozpacz.

– Chyba jednak nic nam nie grozi – wyszeptał Targ.

W tym momencie Oaza hałaśliwie ożyła. Od strony uprawnych pól i domostw nadeszli ludzie.

Do Głównej Stacji zbliżył się przysadzisty mężczyzna. Głowa wyrastała mu prawie prosto z tułowia. Cerę miał koloru jodyny, a wyraz oczu człowieka, któremu odebrano wszelkie złudzenia. Jego płaskie, kwadratowe dłonie drżały.

– No i doczekaliśmy się Końca Świata – wybełkotał. – Jesteśmy ostatnią generacją.

Za jego plecami zachichotał złowieszczo starzec Dan. Przyszedł pod Stację razem z prawnuczkiem i olbrzymią, brązowowłosą, stąpającą lekko kobietą.

– Nie – powiedziała kobieta. – Nie. To nie my zobaczymy Koniec Świata. Agonia Ludzkości będzie powolna. Woda w pierwszej zniknie do tego stopnia, że z jednej studni będzie mogło żyć tylko kilka rodzin. I to będzie najstraszniejsze.

– A właśnie, że to my będziemy świadkami Końca Świata – upierał się przysadzisty mężczyzna.

– No i dobrze – wtrącił się prawnuczek Dana. – Niech nawet dzisiaj ziemia pochłonie ostatnie źródło!

Jego wąska, wężowata, bezgranicznie posępna twarz wyrażała zdumienie, że można, mimo wszystko, nie popełniać samobójstwa.

– Kto wie – zastanowił się jego pradziadek. – Może jednak istnieje dla nas jakiś łut nadziei.

Serce Targa mocno zabiło. Spojrzał na Dana skrzącymi radością oczami w oczekiwaniu na to, co jeszcze starzec może powiedzieć.

Ale Dan zamilkł, znieruchomiał jak granitowy blok.

– Ojcze! – chciał mu dopomóc w dokończeniu myśli Targ, lecz zamilkł.

Nadleciały samoloty.

Ostatni Ludzie żyli w epoce, w której określenie, iż praca twórczo wpływa na osobowość człowieka stało się bezzasadną bzdurą. Im wystarczyło tylko czekać na żniwa, by bez żadnego znoju wygodnie egzystować.

Na ziemi nie istniały już żadne, groźne dla człowieka mikroby. Poprzednie generacje ścieśniły się w niewielkich enklawach i wytępiły wszelkie żyjątka. Nie ocalał nawet najbardziej mikroskopijny organizm. Do przetrwania potrzebna była mikrobowi tłumna aglomeracja, przestrzeń, warunki sprzyjające terytorialnej ekspansji – wyzbył ich z tego człowiek, główny właściciel i dystrybutor wody.

Manipulacja wodą okazała się potworną bronią w walce z bytami, które człowiek chciał unicestwić.

Z powierzchni globu zniknęły zwierzęta domowe i dzika zwierzyna – nośniki epidemicznych chorób.

Wydawało się, że wybiła godzina triumfu i że ludzie, ptaki i rośliny uwiły sobie na planecie wygodne gniazdko. Azyl, w którym nie choruje się na nic.

Zwycięstwo było krótkotrwałe, a nadzieja na dłuższe życie płonna.

Wraz ze zwierzyną zniknęły mikroby, także te pożyteczne, warunkujące prawidłową vegetację.

Zamiast w raju, ludzie znaleźli się w piekle, wydani na żer nie znanych im dotąd chorób. Przyczyną ich stały się mikroby nieorganiczne. Ludzkość, zaskoczona, padła pastwą wroga równie bezwzględного, co poprzedni, zwalczony. Klęska okazała się tak wielka, że rodziny zezwolono zakładać wyłącznie osobom uprzywilejowanym, najbardziej do tego zdatnym, a człowiek rzadko osiągał zaawansowany wiek.

Wokół Głównej Stacji zebrał się tłum. Kilkuset mieszkańców Oazy stało w ciszy.



Nieszczęście, które ich dotknęło, jego rozmiary spotęgowane przez snute z pokolenia na pokolenie opowieści, wyługoowało z nich ostatnią kroplę rezerwy jakiegoś mocniejszego odczuwania. I to nie tylko strachu i bólu, ale i radości, i nadziei. Ostatnich Ludzi cechowała mała wrażliwość i brak wyobraźni. Niemniej tłum stał zaniepokojony, a kilka twarzy skurczyło się nawet ze strachu.

Odetchnięto z ulgą, kiedy około czterdziestoletni mężczyzna, wysiadając z naziemnego pojazdu, wykrzyknął.

– Aparaty sejsmiczne nie sygnalizują niebezpieczeństwa!

– Czym się tak przejmujemy? – zawołała olbrzymiooka kobieta.

– Co możemy zrobić? Już przed wiekami jakakolwiek obrona i przedsiębrane środki ostrożności okazały się nieskuteczne. Żyjemy jeszcze, ale dlaczego? To jest niewybaczalny błąd: chcieć wiedzieć, kiedy nadejdzie ostateczna zagłada. Ona i tak jest nieunikniona.

– Nie, Hele – odrzekł czterdziestolatek. – To nie jest błąd, chcieć wiedzieć. To jest po prostu życie. Dopóki człowiek będzie w stanie niepokoić się o swój los, jego dni będzie opromieniała słodka nadzieja. Jeżeli tego zabraknie – w godzinie narodzin będzie już martwy.

– Oby – złowieszczo zaśmiał się prawnuczek Dana. – Te nasze politowania godne radości, te nasze głupkowane smutki są warte tego, by szczeznąć wraz z człowiekiem.

Czterdziestolatek potrząsnął głową. Tak jak i Targ, i Avra – był jeszcze pełen nadziei. Promieniał siłą. Serce zabiło mu szybciej, kiedy napotkał wzrokiem kryniczne wejrzenie Avry.

W innych sektorach planety też zebrali się ludzie. Dzięki eterofalowym łączom i stacjom przekaźnikowym, sektory mo-

gły komunikować się ze sobą w dowolnie wybranym momencie.

Główne Stacje sektorów, ich nadajniki i odbiorniki – można było tak stroić, by móc słuchać bądź tylko wybranych Oaz, bądź jednocześnie wszystkich głosów populacji ludzkiej. Ten rodzaj komunikacji był jakby skondensowaną duszą Ostatnich Ludzi, rodzajem stymulatora człowieczych sił.

Poprzez rozegzaltowane, nakładające sienna siebie, hałaśliwe głosy przedarł się sygnał Oazy Ziemi Czerwonej. Eterofalografy Głównej Stacji podawały go z głośnika na głośnik.

Dowiedziano się, że tam, skąd dobiegał alarm, nie tylko ptaki, ale i sejsmografy zasygnalizowały silne podziemne wstrząsy.

Ludzie Oazy skupili się jeszcze bardziej. Mano, czterdziestolatek, wspiął się na platformę Stacji. Targ i Avra pobledli. Widząc, że dziewczyna drży, nowo przybyły wyszeptał: – Nie ma się czego obawiać. Nasze Oazy są tak nieliczne i leżą w tak wąskim pasie ziemi, iż niebezpieczeństwo, że znajdą się akurat w strefie zagrożenia jest znikome.

– Tym bardziej – poparł go Targ – że tak bywało do tej pory. Położenie geograficzne Oaz jest gwarantem ich bezpieczeństwa.

Usłyszał to prawnuczek Dana. Prześmiewczo skomentował słowa Targa: – Tak jak strefa niebezpieczeństwa nie przemieszczała się nigdy. Zresztą, wystarczy malutki wstrząs skorupy ziemskiej, ale trafnie usytuowany, i nasze wszystkie źródła wyschną!

Oddalił się pełen posępnej ironii. Targ, Avra i Mano zdrżeli ze zgrozy. Po chwili milczenia Mano podjął wątek: – To prawda. Strefa zagrożenia przemieszcza się, ale przecież bardzo wolno. Wstrząsy skorupy z ostatnich dwustu lat nie za-

groziły źródłom. A jeżeli chodzi o dzisiejsze trzęsienie, to tylko Oazy Ziemi Czerwonej, Zburzonej i Zachodniej leżą w pobliżu pasa zagrożenia.

Kiedy patrzył na Avrę, ogarniał go czuły zachwyty, w którym zakwita miłość. Wdowiec od trzech lat, cierpiał z powodu osamotnienia.

Mimo że rozsadzała go energia i słodkie marzenia o życiu we dwoje – poddał się surowemu Prawu, które rygorystycznie ustalało ilość dopuszczalnych związków małżeńskich i narodzin.

Dopiero przed kilkoma tygodniami Rada Piętnastu wpisała go na listę tych, którzy mogli ponownie założyć rodziny. Świetne zdrowie i wygląd zewnętrzny jego potomstwa z poprzedniego małżeństwa usprawiedliwiały to niewątpliwe wyróżnienie. Obraz Avry, do tej pory skrywany w mrokach jego duszy, zajaśniał nagle pełnym blaskiem.

Wykrzyknął:

– Ciągle mamy nadzieję na jakiś cud. Na to, że coś się zmieni. I że nie umrzemy. A przecież ludzie umierali zawsze. Nawet w tej najpiękniejszej z epok, w Epoce Wody. I zawsze też dla umierającego był to koniec świata. Trzeba umieć żyć tym, co jest, a nie tym, co było i być już nie może! Zresztą, teraz o wiele mniej nam grozi, niż ludziom z najstarszej z epok, z Epoki Radioaktywnej! A przecież nawet wtedy gatunek ludzki nie wyginął.

Mówił twardo, bo nienawidził żałobnej rezygnacji, która pustoszyła dusze jego bliźnich. Bez wątpienia i on jej podlegał, ale usiłował przynajmniej gorączkowo, zrywami, nie zawsze skutecznie, walczyć z nią, smakując każdą przeżytyą minutę, która rozświetlała mroki jego jaźni i zapadała w niebycie.

Avra słuchała go łąpczywie natomiast Targ w zdumieniu, iż może istnieć ktoś tak doskonale dopasowany do złudy czasu teraźniejszego. Jeżeli chodzi o niego, to marzył o tym, by na ziemi nastały ponownie czasy pierwszych ludzi.

– Nie mogę przestać myśleć o tych, którzy nadejdą po nas – wyciągnął ręką w stronę rozległego pustkowia. – Jakie życie byłoby piękne, gdyby Królestwo Człowieka zapanowało z powrotem na tym straszliwym bezmiarze. Czy nigdy nie myślisz o tym, jak tam było, kiedy były tam rzeki, morza, jeziora?... Bezlik roślin i, przed Epoką Radioaktywną, dziewicze, niczym nie skażone Lasy? O, Mano! Dziewicze Lasy!... Teraz na ich miejscu nie ma niczego, prócz tego tajemnego, niepoznawalnego, niezrozumiałego życia Tamtych, panoszących się na terenach naszego, prastarego dziedzictwa! To straszne!

Mano wzruszył ramionami: – Tak. Straszna jest myśl, że poza naszymi Oazami Ziemia jest nam bardziej wroga niż, dajmy na to, Saturn czy Jowisz.

Rozmowę przerwały im nadlatujące ptaki. Wszyscy zamienili się w słuch. Ptaki zawiadamiały, że niedaleko, koło skał, łupem Tam-

tych, bytów żelazomagnetycznych, stała się młoda dziewczyna.

W stronę pustyni natychmiast wystartowały dwa samoloty, a ludzie zadumali się nad swoim dogorywającym istnieniem i nad krzewiącym się rozbuchaniem Tamtych, których nazywali Ferromagnetycznymi.

Upłynęły pełne strapienia chwile, wreszcie samoloty powróciły. Jeden z nich przywiózł bezwładne ciało. Rozpoznano Wędrującą Elmę.

Była to dziwna dziewczyna. Sierota. Nikt jej nie kochał. Za bardzo lubiła wędrowki; z taką dzikością się przy nich upiera-

ła, że deprymowało to bliskich. Nic jej nie mogło powstrzymać przed pędem ku wrogiej człowiekowi pustyni.

Położono ją na platformie Stacji. Twarz jej w połowie zakryta długimi, czarnymi włosami, mimo iż pocętkowana szkarłatnymi punkcikami, była sinoblada.

– Martwa – zawyrokował Mano. – Tamci, Ferromagnetyczni, wysłali z niej życie.

– Biedna mała Elma – westchnął Targ.

Przyglądali się jej z litością i żalem. Zebrani, mimo wrodzonej im bierności, zawrzeli wściekłością na Ferromagnetycznych.

Głos z nadajnika odwrócił uwagę od Elmy.

– Sejsmografy rejestrują silne wstrząsy w rejonie Oazy Ziemi Czerwonej!

– Och, nie! – błagalnie zawołał przysadzisty mężczyzna.

W kompletnej ciszy ludzie zwrócili oczy ku kopule Stacji Głównej.

Czekano.

– No i nic! – wykrzyknął Mano po kilku minutach. – Bylibyśmy już wiedzieli, gdyby trzęsienie ziemi dopadło Ziemię Czerwoną!

Przeraźliwy apel o pomoc przerwał mu. Z głośników dobyło się: – Potworny wstrząs!... Oaza ginie!... Katastr...

Wstrząśnięci ludzie wstrzymali oddech, jakby na coś czekając. Potem nastąpiła reakcja.

Ziemia Czerwona miała aż dziesięć Stacji Przekaznikowych, z których każda mogła się w każdej chwili skomunikować z dowolnie wybranym, zamieszkałym zakątkiem planety. Skoro wszystkie dziesięć Stacji zamilkło na raz, to albo są już zniszczone, albo mieszkańcy Oazy popadli w rezygnację.

Targ przestroił nadajnik i wysłał sygnał do Ziemi Czerwonej. Żadnego odzewu. Jego duszę zaległa ciężarem nie do zniesienia zgroza.

Oazę Wysokich Źródeł, w której mieszkał Targ, z Oazą Ziemi Czerwonej łączyły od tysiącleci silne związki. Dwie te enklawy utrzymywały ze sobą stały kontakt albo za pomocą Stacji Przekaznikowych, albo za pomocą samolotów i pojazdów naziemnych. Przy ciągnącej się tysiącami kilometrów, łączącej te dwa ludzkie zbiorowiska, drodze, stało aż trzydzieści postojów-schronisk wyposażonych w mniejszej mocy Stacje Nadawczo-Odbiorcze.

– Musimy poczekać! – zawołał Targ z platformy. – Nasi przyjaciele odzyskają niebawem zimną krew, są tylko przerażeni, niedługo odpowiedzą.

Nikt mu nie wierzył. Ludzie z Ziemi Czerwonej nie mogli przecież aż tak zostać obezwładnieni strachem.

Targ, widząc malujące się na twarzach niedowierzanie, podjął: -leżeli nawet ich aparatura jest zniszczona, to przecież ich Wysłańcy w ciągu piętnastu minut dotrą do pierwszego postoju-

schroniska.

Tylko wtedy, jeżeli ich samoloty nie zostały rozwalone – powiedziała Hele. – A ich pojazdy naziemne zmitrężą trochę więcej czasu, nim pokonają rumowiska.

Pod Stację zdołali już przybyć prawie wszyscy mieszkańcy Oazy.

Warkot maszyn, którymi nadjeżdżali, upodobnił się w pewnej chwili do oddechu giganta – to zanikał, to wzrastał się.

Na platformie zebrali się członkowie Rady Piętnastu: interpretatorzy Prawa i sędziowie zarazem.

Rozpoznano trójkątną, szorstką w wyrazie twarz starej Bamar. Miała białe jak sól włosy. Był tam też jej mąż, Omal o zdeformowanej głowie, ale któremu siedemdziesiąt lat żywota nie pobieleło szronem płowej brody. Starcy byli odrażający w swej wiekowości, ale czczeni. Ich autorytet był niepodważalny, bowiem swego czasu spłodzili dzieci bez żadnych wad psychicznych i fizycznych.

Bamar, upewniwszy się, że nadajniki Stacji są dobrze nastrojone, wysłała kilka sygnałów, ale odbiorniki Oazy Wysokich Źródeł nie odezwały się. Na twarzy Bamar pojawił się smutek.

– Ziemia Zburzona jest chyba bezpieczna – wymamrotał stary Omal – Sejsmografy nie rejestrują żadnych wstrząsów w innych enklawach.

W tym momencie zabrzęczały odbiorniki. Ludzie zamarli z oczami wlepionymi w kopułę Stacji. Główny głośnik zagrział:

– Tu pierwszy postój Ziemi Czerwonej. Dwa niezwyklej siły wstrząsy zniszczyły naszą Oazę. Ilość zabitych i rannych jest znaczna. Plantacje zapadły się. Istnienie wody – zagrożone. Nasze samoloty zwiadowcze lecą ku Oazie Wysokich Źródeł.

Dopiero teraz zaczął się prawdziwy szturm na Stację; sunął ku niej zwarty potok pojazdów. Ludzi opanowała nie odczuwana od dawna ekscytacja. Odmłodziły ich strach o własne życie i niepokój o bliźnich.

Rada Piętnastu debatowała. Tymczasem Targ, dygocąc od stóp do głów, odpowiedział pilotom z pierwszego postoju, iż Wysokie Źródła niezwłocznie wyślą rekonesans ku Ziemi Czerwonej.

Nakazem Prawa i Tradycji Oazy Ziemi Czerwonej, Wysokich Źródeł i Ziemi Zburzonej – winny sobie były, na wypadek katastrofy, pomoc. Stary Omal, wiedzący wszystko, co przekazała Tradycja, orzekł:

– Mamy zapasy żywności na pięć lat. Z tego jedną czwartą możemy oddać Ziemi Czerwonej. Możemy także, jeżeli się to okaże nieuniknione, przyjąć dwa tysiące uchodźców, ale otrzymają oni zaniżone racje żywności i trzeba im będzie zakazać płodzić dzieci. My sami też ograniczymy rozrodczość, bowiem zanim minie piętnaście lat, trzeba będzie sprowadzić liczebność populacji do tradycyjnie uznanej wielkości.

Rada zaaprobowała jego orzeczenie. Bamar krzyknęła do tłumu:

– Rada wyznaczy tych, którzy udadzą się na rekonesans do Ziemi Czerwonej. Będzie ich dziewięciu. Inni zostaną tam wysłani wtedy, kiedy poznamy rozmiary katastrofy i rzeczywiste potrzeby naszych braci.

– Chcę być jednym z dziewięciu – poprosił Targ.

– I ja! – dorzuciła żywo jego siostra.

Oczy Mano zabłyśły:

– Jeżeli Rada zgodzi się, chcę być również między Wyśłannikami.

Stary Omal popatrzył na nich łaskawie. Dawno, dawno temu i on powodował się spontanicznymi odruchami, tak rzadkimi u Ostatnich Ludzi. Z wyjątkiem Amata, wątłego niedorostka, który też chciał jechać, tłum oczekiwał bezwolnie decyzji Rady. Plemię ludzkie od tysiącleci nie zachowujące się nawet na jotę inaczej niż nakazywała Tradycja, przyzwyczajone do monotonnej egzystencji, zatraciło zmysł inicjatywy. Człowiek, zrezygnowany, cierpliwy, nie tyle odważny, co bierny, nie był już w stanie podniecić się czynem i przygodą. Mar-



twota otaczającej go ze wszech stron pustyni zaciążyła na jego sposobie myślenia i czucia.

– Nic nie stoi na przeszkodzie odjazdowi Targa, Avry i Mano – zauważyła stara Bamar. – Ale droga jest za długa dla Amata. Niech decyduje Rada.

Rada wszczęła debaty, a Targ zapatrzył się w złowrogą przestrzeń.

Nieszczęście Ziemi Czerwonej dotknęło go prawie osobiście, wierzył bowiem, że zdarzy się kiedyś cud, że wrócą dawne czasy. To co się przydarzyło odbierało na ów cud wszelką nadzieję; gorzko, boleśnie potwierdzając smutne przekazy Tradycji i przekonanie Ostatnich Ludzi, że koniec świata jest blisko.

## II. KU ZIEMI CZERWONEJ!

Dziewięć samolotów leciało ku Ziemi Czerwonej. Trzymały się kursu wytyczonego przez dwie drogi, które tysiąclecia temu zbudowano dla samochodów. Drogi te potem wyposażono w postoje-schroniska pierwszej klasy. Wykonano je ze specjalnego stopu i zaopatrzone w stacje Nadawczo-Odbiorcze. Na trasie można było zatrzymać się na pośledniejszej klasy przystankach. Oba trakty były świetnie utrzymane, choć teraz z rzadka tylko przemierzały je naziemne pojazdy o elastycznych, mineralnych oponach.

Ludzie Oaz jeszcze potrafili posługiwać się olbrzymimi mocami wprzęgniętymi przez przodków w służbę człowieka. Zresztą, utrzymanie dróg w stanie idealnym nie wymagało wcale wielkiego starania. Nawet piechur mógł nimi bezpiecznie maszerować przez calutki dzień nie niepokojony przez Tamtych. Nie należało tylko robić za długich postojów, ni, oczywiście, spać. Bo wtedy, nieszczęśnik, zupełnie jak Wędrująca Elma, mógł stracić swoje czerwone ciałka krwi i umrzeć na anemię.

Żadnemu z dziewięciu Wysłanników nie groziło niebezpieczeństwo tego rodzaju. Trzymali

oni bezpiecznie w swych dłoniach drążki sterowe lekkich samolotów tak przestronnych i wytrzymałych, że mogło nimi podróżować wygodnie nawet i czterech pasażerów. Tak więc gdyby jakiś nieszczęśliwy traf sprawił, że dwie trzecie maszyn ekspedycji uległaby zniszczeniu – reszta samolotów wykonałaby zadanie bez zarzutu. Były one tak skonstruowane, by znieść niesamowitej siły wstrząsy i by stawić czoła najdzikszeemu huraganowi, Na czele leciał Mano. Targ i Avra trzymali się blisko siebie. Podniecenie młodego Strażnika wzrastało.

Jego wyobraźnią zawładnęły Wielkie Katastrofy, których historię wiernie przekazywała Tradycja.

Od pięćdziesięciu tysięcy lat człowiek okupował na planecie zaledwie kilka zielonych enklaw. Ich rozmiary były urągowskimi.

Cień przyszłego upadku legł na ludzkości na długo przedtem, nim zaczęły się kataklizmy. Już w tak zamierzchłej epoce, jaką były pierwsze wieki Ery Radioaktywnej, zauważono znaczny spadek poziomu wód.

Uczeni orzekli wtedy, że ludzkość zginie z powodu katastrofalnych susz.

Ale ich słowom nie dawano wiary, bowiem lodowce wciąż skuwały wierzchołki gór, niezliczone rzeki dawały ochłodę, a niezgłębione oceany obmywały brzegi kontynentów. Nie przejmowano się tym, że co prawda niezmiernie wolno, ale jednak – wody zanikały.

Dopiero w jakiś czas potem zaczęła się apokalipsa trzęsień. Łądy nieprawdopodobnie wypiętrzyły się. Czasami jeden wstrząs pochłaniał dziesiątki miast na raz i setki wiosek.

Zaczęły się formować łańcuchy górskie wyższe dwa razy od Alp, Andów i Himalajów.

Wody z wieku na wiek ubywało.

Mnożyły się przedziwne znaki.

Zmienił się wygląd Słońca i zgodnie z działaniem praw, których objaśnić sobie nie potrafiono, odbiło się to na ukształtowaniu ziemskiego globu. Zmiany na Słońcu zapoczątkowały niekończącą się reakcję łańcuchową katastrof: z jednej strony wypiętrzenie gór do trzydziestu tysięcy metrów, z drugiej – zanik wód.

Przekazy mówiły, że na początku Gwiezdnego Buntu, tej rewolucji planet i gwiazd, populacja ludzka liczyła dwadzie-

ścia trzy miliardy osobników. I, że dysponowała niesamowitą energią wydobywaną z atomów.

Populacja ta nie przejęła się zanikiem wód, gdyż do perfekcji opanowała technologię wytwarzania syntetycznych strojów. Miała zatem nadzieję, że równie perfekcyjnie opanuje technologię wytwarzania syntetycznego pożywienia. Była nawet dumna, iż w niedalekiej przyszłości będzie się mogła obejść bez tradycyjnej żywności, zastępując ją tym, co w laboratoriach wypreparują chemicy. Wszystkim wydawało się, że prastare marzenie człowieka o ostatecznym ujarzmieniu natury jest bliskie urzeczywistnienia. Ale ludzie, na których eksperymentowano sztuczną żywność degenerowali się, bądź umierali na jakieś tajemnicze, nie znane do tej pory choroby.

Odstąpiono więc od pierwotnych zamiarów i porzeczano na naturalnym pożywieniu przodków. Ale pożywienie to było już inne z powodu innego sposobu uprawiania i hodowania oraz naukowych manipulacji.

Tak więc żywności naturalnej było coraz mniej. Trzeba było wprowadzać racjonowanie. Porcje stały się minimalne. Pozwalały osobnikowi przeżyć, ale niedostatecznie rozwinąć się. To stało się przyczyną degeneracji systemu wegetatywnego. Jakby dla symetrii – nieproporcjonalnie rozrosły się człowiekowi płuca. Powietrze stawało się coraz bardziej rozrzedzone.

Ostatnie drapieżniki i zwierzęta trawożerne padły. Zwierzęta domowe, którymi się żywno, upodobniły się do jakichś zwierzokrzewów. Były to jajowate, obłe, obrzydliwe dziwolągi. Posiadały kikutowate członki i atroficzne szczęki. Atrofizm szczęk był następstwem sztucznego, przymusowego odżywiania tych stworów.

Tylko niektóre gatunki ptaków nie uległy degeneracji i zaczęły w sposób zaiste niezwykły, rozwijać się intelektualnie. Z roku na rok stawały się też coraz piękniejsze. Wnet poczęły oddawać nieocenione usługi, posiadały bowiem instynkt, którym nie mógł się już poszczycić człowiek. Rodzaj ich usług był szczególnie ceniony przez wszelkiego typu laboratoria i zakłady przemysłowe.

Ludzie, choć jeszcze władali planetą, stali się smętni i bierni.

Zniknęły na zawsze dziewicze ostępy i piaszczysto-bagiennie, pokryte sosną niziny. Nie było już moczarów ni stepów. Nie było nawet zaoranych ugorów, które zdominowały pejzaż Ery Radioaktywnej.

Wydawać by się mogło, i to zasadnie, że wszelki rodzaj istnienia organicznego dotknięty został jedną z najstraszliwszych chorób – samounicestwieniem.

W ciągu piętnastu tysięcy lat liczba ludzi na Ziemi zmniejszyła się z dwudziestu trzech miliardów do czterech. Oceany, schowane teraz w większości w przepaściach, zajmowały nie więcej niż czwartą część planety. Rzeki i jeziora zaniknęły.

Wszędzie dominowały góry, niebotyczne i posępne. W nich odrodziła się dzikość Ziemi – ale Ziemi ogołoconej.

Człowiek do upadłego zaczął walczyć o przeżycie. I wbijał się, nawet w dumę, że skoro nie potrafi przeżyć bez wody, to przecież potrafi ją wydobyć z czeluści, i to w takiej ilości, by utrzymać na poziomie uprawy, mając jej pod dostatkiem na użytek domowy.

Tylko aparatura potrzebna do tego typu przedsięwzięcia stawała się coraz rzadsza, te zaś maszyny, które pracowały na wielkich głębokościach, czyli tam, gdzie jeszcze można było

znaleźć wodę, psuły się, lub – na nieco wyższych pokładach – stawały się bezużyteczne.

Łamano sobie głowę nad sposobami ich konserwacji, a także nad sposobami regulacji wycieków. Nad sposobami wyeksploatowania do maksimum najmniejszej nawet ilości wody.

Zwierzyna domowa dogorywała. Na próżno usiłowano wyhodować odporniejsze gatunki.

Degeneracja zwierząt domowych, trwająca przecież tysiąclecia, wykluczyła jakąkolwiek możliwość korzystniejszej ich ewolucji.

Atrofii nie uległy jedynie rośliny i te ptaki, które chroniąc się przed człowiekiem, uciekły przed nim w niedostępne góry. Także te, które pozostając w pobliżu ludzkich siedzib, skutecznie, dzięki rozwiniętej świadomości, wywalczyły sobie prawo do zaprzestania traktowania ich upodlająco – jako ja-dła.

Groza sytuacji dotarła wreszcie do ludzkich umysłów i zaprzestano procederu mordowania jedynych towarzyszy życia na planecie i sycenia się ich ciałem.

Wstrząsy sejsmiczne nie ustawały. Ziemia zmieniała oblicze. Padały ludzkie siedziby. W końcu człowiek zrozumiał, że świat minerałów, nad którym milionami lat panowały byty ożywione, nieodwołalnie bierze rewanż.

Nastał czas beznadziejności.

Populacja ludzi zmalała do trzystu milionów osobników.

Morza zajmowały już tylko dziesiątą część powierzchni Ziemi.

A potem nastąpiła przerwa w Gwiezdnej Rewolucji, trwająca cztery tysiące lat. To napęliło ludzi optymizmem. Podjęto wspaniałe w swym ogromie prace zabezpieczające przed

skutkami ewentualnych katastrof. Zaprzeszono też walki z ptakami. Ograniczono się jedynie do limitowania ich liczebności. Zaczęto korzystać z ich bezcennej pomocy; pomocy istot, które posiadały jeszcze instynkt.

Ale kataklizmy wróciły. Tereny nadające się jeszcze do zamieszkania skurczyły się. Wreszcie skorupa ziemską obraziała się do tego stopnia, iż już tylko wąziutkie enklawy zdolne były pomieścić w sobie i wyżywić ograniczoną liczbę ludzi. Poza Oazami nie było wody.

Potem Ziemia uspokoiła się i choć lustra wody w studniach drążonych w przepaściach opadały, choć populację ludzką musiano zredukować do jednej trzeciej poprzedniej liczebności, choć dwie z Oaz trzeba było porzucić – pojęcie Człowiek i Ludzkość nie stały się pojęciami pustymi.

Ubyło zakładów przemysłowych, bo człowiek nie potrzebował aż tyle, co za czasów swej bezsprzecznej hegemonii na Ziemi. Aparatura, którą posługiwano się przy pracy i komunikacji, stała się mniej złożona. Przestano na przykład używać spiraloïdów, którymi przodkowie przemierzali przestrzeń z prędkością dziesięć razy większą, niż w konwencjonalnych samolotach.

Życie stało się smutne i apatyczne.

Wola tworzenia zamarła. Odradzała się tylko od czasu do czasu, atawistycznie, u nielicznych wybrańców. Ludzie stali się posłuszni jak automaty, idealnie poddani Prawu. Uczuciami kierowano się rzadko. Zbrodni nie znano. Narodził się nawet jakiś rodzaj religijności bez kultu, bez rytuałów. Religijność ta była raczej podyktowana obawą i respektem przed minerałami.

Ostatni Ludzie uznali, że planeta wyraża swawolę nieśpiesznie, ale nieodwołalnie.

Początkowo faworyzowała człowieka. Pozwoliła zatem, by sięgnął on szczytów potęgi i władzy. Tajemnym, jakby bez uzasadnienia wyrokiem, skazała potem pupilów na niechybną śmierć i poczęła faworyzować wykształcających się właśnie Tamtych.

Tajemnicze siły zaczęły teraz pracować na korzyść Ferromagnetycznych. Nie można powiedzieć, by partycypowali oni w dziele niszczenia Ludzkości. Przeciwnie. W pewnym okresie pomagali nawet, nieświadomie, w wytępieniu dzikich ptaków. Na to, by stać się świadomym i nieprzejednanym wrogiem człowieka, musieli poczekać w swym rozwoju na skok jakościowy.

Tamci pojawili się dawno, wieki temu. Ale ich ewolucja w byty wyżej zorganizowane dokonywała się niezauważalnie dla człowieka.

Nawet w epoce Ostatnich Ludzi najżywotniejsi z Nich przemieszczali się z miejsca na miejsce w tempie dwa metry na godzinę, zaś powleczone bizmutem metalowe szanice, którymi Ostatni Ludzie obwarowywali Oazy, pozostały dla Nich przeszkodą nie do pokonania.

Ferromagnetycznych zauważono po raz pierwszy u schyłku Ery Radioaktywnej. Spostrzeżono ich obecność na żelaznym złomie, na żelastwie, by tak rzec, ludzkim, nigdy na rudzie żelaza, na żelazie dzikim.

Z daleka Tamci podobni byli do fioletowych plam. Narodzili się niejako dzięki człowiekowi, dzięki jego przemysłowej aktywności.

Fakt ten zastanowił ludzi. Zaczęto deliberować, czy pojawienie się na Ziemi człowieka nie miało podobnego początku. To znaczy, czy jakieś nieznane prabyty rodzajem swojej aktywności nie przyczyniły się do powstania znanego życia.



Jakkolwiek było – pewnego dnia zarejestrowano istnienie Ferromagnetycznych. I choć uczeni nie potrafili wyjaśnić zagadki, nie wątpiono, że to dość szczególnie zorganizowane byty żelazne.

Jeżeli jakieś obce ciało, nawet mikroskopijne, dostawało się do ich organizmów, szkodziło ich rozwojowi i bywało odrzucane, jeżeli tylko Ferromagnetyczny przedtem nie osłabł, lub nie zachorował na niedostępną ludzkiemu poznaniu chorobę.

To żelazo w stanie ożywionym miało dość zróżnicowaną strukturą bądź włóknistą, bądź granulkową. Dającą się ugniatać lub twardą.

Plastyczną jednak mimo twardości. Nie zawierającą miligrama cieczy. Podstawowym wyróżnikiem Ferromagnetycznych była ich szalenie skomplikowana magnetyczność, której żaden uczone nigdy nie ośmielił się ująć w prawo, czy choćby ostrożnie sformułowaną hipotetyczną formułę. Domniemywano jednak, że jeśli Ferromagnetyczni uzyskają świadomość, to będzie ona odbiciem i rozwinięciem emanującego z nich magnetyzmu. W epoce Ostatnich Ludzi Tamci wyłącznie się rozmnażali. Jeżeli nawet była to działalność świadoma, to na nikłym poziomie.

Tamci wiekami całymi nie zmieniali kształtów. Literaci Ery Radioaktywnej następująco opisali osobnika Ferromagnetycznego: składa się z trzech układów, w każdym z nich można wyróżnić jedną cechę stałą – tendencję do przybrania postawy spiralnej.

W tamtych czasach Ferromagnetyczni nie mogli przemierzyć więcej niż pięć do sześciu centymetrów na dobę. A gdy jeden z układów ulegał odkształceniu – trzeba było całych tygodni na jego odtworzenie w pierwotnej formie.

Jednak w epoce Ostatnich Ludzi Ferromagnetyczni zaczęli osiągać szybkość dwu metrów na godzinę. Stali się z trzech – pięcioukładowi, niektórzy nawet składali się z dziewięciu komponentów. Choć nadal spotykało się prostsze – trzyukładowe formy. Każdy z układów miał inne natężenie magnetyczne. Ferromagnetyczni mogli istnieć tylko w skupiskach. Skupiska te emitowały własny, zmienny magnetyzm, nie ustalono jakim sposobem. Na dane skupisko składały się całe serie osobników.

Tamci formowali się, czy też rodzili – przypominało to w zaskakujący sposób indukcję elektromagnetyczną – na uboczu, w niedostępnych miejscach. Trudno powiedzieć, by stanowili dla Ostatnich Ludzi zagrożenie numer jeden; ludzkość i tak od wieków była w stadium schyłkowym. Przodkowie Ostatnich Ludzi uznali jednak Tamtych za największego wroga i wszelkimi sposobami starali się ich wytępić. Dokonywali też prób, by ich tajemniczą, magnetyczną aktywność wykorzystać. Nie było przecież żadnych teoretycznych przeciwwskazań, by ich substancją posłużyć się jako materiałem wyjściowym w zakładach przemysłowych. Wystarczyło, co czyniono niewielkim nakładem kosztów, powlec ich bizmutem, by stanowili szanśce nie do zdobycia dla siebie samych.

Inne jednak próby z Nimi skończyły się fiaskiem. Jako surowiec w jakimkolwiek innym procesie produkcji stawali się bezużyteczni, chociaż przetopieni stawali się jednorodni i traciли właściwości elektromagnetyczne. Ale, po schłodzeniu odzyskiwali natychmiast pierwotne cechy.

Rychło też stwierdzono, że ludzie nie mogli zbyt długo bezkarnie przebywać w ich sąsiedztwie; po kilku godzinach dostawało się anemii, omdlewało, a po dwudziestu czterech godzinach umierało.

Styczność z Nimi sprawiała, że człowiek tracił czerwone ciałka krwi.

Kumulowały się one na powierzchni skóry, a Ferromagnetyczni je asymilowali.

Wystarczyło jednak iść lub podróżować w naziemnych pojazdach, używać ubrań z mineralnej tkaniny – by móc stać im czoła nawet przez miesiąc. Zagrożenie z Ich strony zmniejszało się, jeżeli spało się z głową zwróconą ku północy, lub gdy słońce stało w zenicie. Poza tym wszystko zależało od zachowania odległości – dziesięć metrów od Nich nie odczuwało się objawów zagrażających życiu.

Przodkom Ostatnich Ludzi wytrzebiecie ich wydawało się szalenie ważne, walczyli z nimi metodycznie, hamując ich rozrodczość, co pochłaniało wiele sił i zmuszało do uruchomienia olbrzymich mocy produkcyjnych. Po Gwiazdnej Rewolucji Ferromagnetyczni stali się mniej groźni, ale dlatego, iż zmalała liczba fabryk, a więc i żelastwa, które produkował człowiek. Również dlatego, że warstwy geologiczne ziemi przemieszczały się po trzęsieniach ziemi i na powierzchnię wydobyły się samorzutnie masy rud żelaza, żelaza dzikiego, stanowiącego naturalną zaporę dla ich terytorialnej ekspansji.

Oślabła walka z Nimi. Któż bowiem martwiłby się zagrożeniem płynącym ze strony nieorganicznego, które ożyło, w obliczu nieskończonego groźniejszych gwiazdnych anomalii.

Ostatnich Ludzi Tamci prawie przestali obchodzić. Otoczyli się watami ochronnymi, ubrali w stroje z bizmutowego włókna i uznali, że ich siedziby są twierdzami nie do zdobycia. Wiedzieli jednak, że nawet gdyby zdobyli więcej wody, nie staną się, bo Ferromagnetyczni na to już nie zezwolą, na powrót panami Ziemi.

Targ spojrział na równinę. Wszędzie ten fiołkowy odcień i sinusoidalne formy Ferromagnetycznych.

– Tak – powiedział do siebie. – By ludzkość mogła się odrodzić, należałoby podjąć pracę naszych przodków. Ferromagnetycznych trzeba zniszczyć albo ich spożytkować. Tylko czy ich destrukcja jest jeszcze możliwa? Każde nowo powstające królestwo nosi w sobie immanentnie zwarte elementy sukcesu, czyniące nieskutecznym wszelki opór stawiany przez królestwo pokonane. Być może byłoby rozsądniej wynaleźć sposób na koegzystencję królestwa ludzi i Ferromagnetycznych? Może mogliby wzajemnie wspomagać się? Przecież świat Tamtych wziął swój początek w naszych zakładach przemysłowych. Może tu należałoby szukać punktu stycznego do obojnego, głębokiego zrozumienia swych interesów? U genezy podziału świata na dwa zwalczające się obozy leżała przecież działalność człowieka, który teraz musi ugiąć karku, ale...

Popatrzył na niebotyczną górę na horyzoncie. – Niestety, moje rojenia są śmieszne. Ale... Ale to one pomagają mi żyć. To one dostarczają mi chwil szczęścia, które odwróciło się od ludzkiego gatunku.

Wyprostował plecy. Serce mu zabiło: zza góry wynurzyły się samoloty.

## III. ZBRODNICZA PLANETA

Nadlatujące samoloty zdawały się niebezpiecznie ocierać o pochylony nad przepaścią, spowity w pomarańczowy cień szczyt, zwany Purpurową Iglicą. Oświeśliło je słońce. Stały się intensywnie srebrzyste.

– Wysłannicy z Ziemi Czerwonej! – krzyknął Mano.

Jego słowa były krzykiem rozpacz. Obydwie formacje przyśpieszyły lot. Podniebnemu spotkaniu towarzyszyła cisza podkreślana rykiem turbin. W dole ziało pustkowiem. W końcu Targ, załamującym się głosem, zapytał: – Czy znane są rozmiary kataklizmu?

– Nie – odpowiedział jeden z Wysłanników Ziemi Czerwonej, pilot o ogorzałym obliczu. – Wiemy tylko, że zabitych i rannych jest niesamowicie dużo. Ale nie to jest najważniejsze. Najważniejszą i najgorszą ze wszystkiego jest utrata źródeł.

Pochylając głowę, dodał z gorzkim spokojem: – Uprawy są zniszczone. Przepadło wiele spichrzów z zapasami. Ale jeżeli nie będzie drugiego takiego wstrząsu, to przy pomocy Oazy Ziemi Wysokich Źródeł moglibyśmy żyć jeszcze kilka lat. Nie wolno byłoby nam tylko płodzić dzieci. Wtedy, być może, nie trzeba by było dodatkowo nikogo poświęcać.

Samoloty Wysłanników obu Oaz leciały jakiś czas obok siebie. Potem pilot o ogorzałym obliczu zmienił kierunek i wraz ze swoimi oddalił się ku Wysokim Źródłom, zaś grupa dowodzona przez Targa wzięła kurs na Ziemię Czerwoną. Trasa wiodła nad odrażającymi przepaściami, nad wypiętrzonymi obelżywie górami, nad spływającymi z nich skalnymi rumowiskami. Być może, niegdyś, były to łagodne stoki, porośnięte soczyście zieloną trawą. Teraz w tym odludziu rodzili się Tamci.

– Może – pomyślał tęsknie Targ – pod tymi lawiniskami są jeszcze ślady po pradawnych ludzkich siedzibach?

Pod samolotami na nowo wyjeżyły się stopione ze sobą przełęczami górskie iglice. Minęło dwie trzecie dnia. Do miejsca przeznaczenia zostało już tylko trzysta kilometrów.

– Jeszcze tylko godzina lotu – powiedział do siebie Mano.

Targ popatrzył przez teleskop. Na tle czerwonego podłoża widać już było, choć jeszcze niewyraźnie, Oazę. Od tej czerwieni enklawa wzięła nazwę. Przygaszony spotkaniem z Wyślannikami z Ziemi Czerwonej Targ odżył na nowo. Nastawił silniki na szybsze obroty i wysunął się na czoło eskadry.

Nad szkarłatną ziemią krążyły ptaki. Niektóre skierowały swój lot ku samolotom. Ich monotonna skarga potwierdziła, że dla tej okolicy wybiła ostatnia godzina. Targ słuchał mowy ptaków ze ściśniętym sercem, w milczeniu.

Teraz Oazę widać już było dobrze. Ziemia wokół niej wyglądała tak, jakby przeorał ją jakiś fantasmagoryczny, wieloskibowy, gigantyczny pług. W środku mrowiska widać było zgniecione

domy, rozszarpany wał ochronny i, godne litości, maciupeńkie z tej wysokości, ludzkie postacie, podobne do rojących się wokół szczątków mrówek.

Nagle niesamowity ryk przeszył powietrze. Ptaki oszalały. Straszliwy wstrząs targnął nie tylko ziemią, ale i niebem.

Zbrodnicza planeta kończyła swe dzieło.

Tylko Avrze, Targowi i Mano wydarł się z piersi okrzyk rozpaczny.

Reszta pilotowała swe maszyny smutna, lecz opanowana. Z dołu, z Oazy, dobiegał żałobny lament. Skazani na śmierć uciekali, choć nie mieli dokąd. Wdrapywali się na rumowiska. Rzucali w przedśmiertnych konwulsjach. Nieruchomieli. Z żar-

łocznej ziemi wystawały okrwawione torsy i głowy. Wyglądało to tak, jakby zabici unosili je, by po raz ostatni popatrzeć. Widowisko było krwawe, a jego epizody, w szczególności, straszliwe.

Dziwięciu Wysłanników Oazy Wysokich Źródeł krążyło nad Czerwoną Ziemią w rozterce. Dopóki ptaki krążyły zatrwożone, można się było spodziewać następujących wstrząsów. Dopiero kiedy uspokoiły się, zaczęto przygotowania do lądowania.

Z Wielkiej Rady Oazy Ziemi Czerwonej przeżyło tylko kilku członków. Właśnie oni przywitali Wysłanników. Nie mówiono wiele.

Rozmiary kataklizmu wymagały pomocy nie słownej, lecz czynnej.

Dziwięciu włączyło się do prac ratowniczych.

Nikt nie słuchał skarg. Rany i okaleczenia traktowano z rezygnacją i fatalizmem. Tylko krzyk dzieci przerażał. Wydawało się, kiedy dobiegał, że to sama Istota Bólu wzbija się przejmująco w niebiosy.

W końcu anestezjologowie położyli błogosławionym kres niewymownym cierpieniom. Na ludzką mękę zarzuciła miłosierny szal Nieświadomość. Ustały jęki tych, którzy bezskutecznie próbowali wydostać się z głębi rozpadlisk.

Zanim jednak zapanowała cisza, Targ usłyszał czyjś krzyk, nie bólu jednak, lecz przerażenia. Dłuższy czas nie mógł ustalić, skąd dobiega głos. Głos świeży, pełen czaru. W końcu domyślił się, że ze szczeliny zatarasowanej osuwiskiem. Zaczął ją odgruzowywać. Robił to ostrożnie, co rusz przerywając pracę. Bał się nagłych tąpnięć. Podłoże bowiem podejrzenie wibrowało. Ze zmęczenia i nerwowego napięcia na czoło wystąpiły mu krople potu. Nawet pomyślał, iż nadszedł teraz jego

koniec. Jedna ze ścian szczeliny zawaliła się. Targ zdał się na łaskę losu. Opuścił głowę i czekał na śmierć. Ale nie został zmiażdżony. Padające głazy minęły go o włos. Uniósł głowę.

Przed nim ziała grotą. W jej półmroku dostrzegł jakąś istotę. Skoczył ku niej. Wyniósł na zewnątrz. Był na to najwyższy czas. Nowa lawina kamieni zasypała pieczarę.

Była to kobieta. Nie została ranna, tylko zemdląca. Ubrana w obcisły, srebrzysty strój noszony przez mieszkańców Ziemi Czerwonej.

Wybawcę zafascynowały jej włosy. Była blondynką, co u cór człowieczych zdarzało się raz na wieki całe. Jej jasne, błyszczące jak najszlachetniejszy metal sploty tchnęły źródlaną świeżością. Targ pomyślał że są one symbolem Miłości, Gracji i Czaru – najpiękniejszych kobiecych ozdób.

Serce wezbrało mu czułością. Poczł się bohaterem. Dokonał przecież czynu szlachetnego, wielkiego i wzniosłego – uratował człowieka Niewielu spośród Ostatnich Ludzi stać byłoby na podobny wyczyn. Patrzył w zachwycie na czerwone usta zemdlonej, na delikatną linię owalu jej twarzy, na szlachetne wycięcie nozdrzy. Dziewczyna otworzyła oczy. Oczy koloru porannego świetlistego nieba. Nieba pełnego słodkich tchnień wiatru.



### IV. W OTCHŁANI

Zapadł zmrok. Na niebie zabłyśły pierwsze konstelacje. Oaza milczała, kryjąc swój ból w ciemnościach.

Targ podszedł do obwałowania. Drżał gorączkowo. Wybiła ostatnia godzina Ostatnich Ludzi. Nadajniki bezustannie ogłaszały: Ziemia Zburzona nie istnieje. W dwu z Oaz Równikowych – Wysokiego Parowu i Niebieskich Piasków – znikła całkowicie woda. Jej poziom obniżył się zauważalnie również w Ziemi Wysokich Źródeł. Oazy:

Czystą i Siarkowej Doliny nawiedziły silne sejsmiczne wstrząsy. Woda znika i tam.

Ludzkość została skazana na śmierć.

Targ przekroczył obwałowanie i wszedł na pustkowie. Zaświecił księżyc. W jego blasku przybladły gwiazdy. Zagrała kolorami ziemia:

szkarłatem skalnego podłoża i fioletem Ferromagnetycznych. Fiołkowe plamy Tamtych fosforyzowały rytmicznie. Był to niechybny znak wzmożonej ich aktywności.

Targ szedł pustkowieciem jak śmierć cichym i nieskończenie rozległym. Wspominał świetliste włosy uratowanej dziewczyny. Stała się ona jego drugim ja. Pulsująca na niebie niebieskawa Wega przypominała mu błękit tęczówek ukochanej. Miłość do niej stała się esencją jego życia. Nabrało ono głębi, wymiaru. Warto było teraz żyć i działać, odrzucić trwożną beznadzieję Ostatnich Ludzi.

Od czasu do czasu Targ przyzywał dziewczynę: – Ere!

Okrzyki te potęgowały ciszę porównywalną do wiekui-stego milczenia międzygwiazdnych przestrzeni. Powietrze było nieruchome jak granit. Czas tu nie istniał. Tu panował bezczas. A i przestrzeń należała do innego, nieludzkiego wymiaru. Była nieubłagana obca, obojętnie wyniosła, pełna jakichś sko-

jarzeń jakby urojonych w przedśmiertnej godzinie: to skrzyło życie Tamtych. Przerazające, podstępne, niezrozumiałe, obywatniające, niedostępne ludzkiemu pojmowaniu. Życie Tamtych, którzy zawładną Ziemią po śmierci ostatniego człowieka.

Targ zatrzymał się, by popatrzeć na przemieszczających się w nieodgadzionym celu Ferromagnetycznych. Sposób w jaki to robili był nie do pojęcia, nie mieli przecież kończyn. Po chwili przypomniał sobie Ere i przestał się zajmować Tamtymi.

Do heroizmu wstąpienia w obcy wymiar popchnęła Targa rozbudzona wraz z miłością chęć dokonania niemożliwego: postanowił odkryć Wodę! Tylko za wodę mógł dostać Ere. Prawo separowało ich bowiem na zawsze. Jeszcze wczoraj tak nie było. Jeszcze wczoraj mógł ją pojąć za żonę. Wystarczyło wymienić ją na jedną z dziewczyn z Wysokich Źródeł. Po kataklizmie wymiana stała się niemożliwa. Oaza Wysokich Źródeł przyjęła wprawdzie uchodźców z Ziemi Czerwonej, lecz skazała ich na dozgonny celibat. Uchylić nakazu celibatu w zaistniałych okolicznościach nie mógł nikt. Targ musiał to zaakceptować jako wyższą, nieodwołalną

konieczność.

Pojaśniało. Perłowosrebrzysty dysk księżycy przetoczył się nad Wzgórza Zachodnie, właśnie ku którym, jak zahipnotyzowany, szedł Targ. Stąpał ostrożnie, co chwilę przystawał. Jeszcze tak niedawno drgające konwulsyjnie podłoże musiało być pełne pułapek. Zaświeciwszy promiennik wstąpił w labirynt szczelin górskich. Skalne korytarze okazywały się ślepyimi zaułkami. Jednak w pewnym momencie znalazł jakąś dającą nadzieję rozpęklinę. Po trzydziestu metrach rozpęklina tak przewężyła się, że ledwo się nią przeciskał. Poczł się żywcem pogrzebany. Jak więzień minerałów. Jak obojętne całemu

światu Nic. Jak coś, co pierwszy lepszy blok skalny ma prawo zetrzeć na miazgę. Opanowała go gniewna gorączka człowieka, który musi skończyć, co zaczął, bo inaczej znienawidziłby się.

Mozolnie przeciskał się do przodu, centymetr po centymetrze, cały spocony, na granicy psychicznego załamania. Jego serce, walące do tej pory jak skrzydła ptaka-giganta, osłabło. Puls stał się ledwo wyczuwalny. Nadzieja i własna odwaga nagle mu zaciążyły, stały się nie do zniesienia. Potem, kiedy puls wyrównał mu się, pomyślał, że to co robi z takim zaangażowaniem jest bezgranicznie, tragicznie śmieszne: – Chyba zwariowałem!

Zaczął się wycofywać. Nagle zobaczył Ere tak wyraźnie, jakby stała obok niego. – Moje szaleństwo jest więcej warte, niżeli obelżywie zdrowy rozsądek moich bliźnich. Naprzód!

I na nowo rozpoczął wędrówką w głąb Ziemi. Postawił swoje życie na jedną kartą. Opłacił mu się ten hazard. Odwaga została nagrodzona. Rozpękłina z wąskiej i kiszkowatej, przerodziła się w obszerny i wysoki, bazaltowy korytarz. Jego strop podtrzymywały antracytowe kolumny. Ucieszył się prawie boleśnie. Wszystko na powrót stało się możliwe i nietrudne.

Kamienny labirynt był równie tajemniczy, co – tak to sobie wyobrażał – niegdysiejsze dziewicze, leśne ostępy. Korytarz zakończył się zaskakująco grodzącą go ścianą. Ściana skrzyła słabo w świetle promiennika. Targ odkrył przewieszkę z otworem prowadzącym dalej. Nowe przejście, na tyle szerokie by móc się w nim wyprostować, biegło nie w głąb, lecz ukośnie ku górze. Strażnik patrzył na nie radośnie, ale i z rozczarowaniem. Radośnie – bo w ogóle istniało jakieś przejście.

Z rozczarowaniem – bo wznosiło się to przejście, nie opadało, a to zmniejszało szansę na odkrycie wody.

Otwór przewieszki ział na wysokości trzech metrów. Zdobył go za pomocą elastycznej, zakończonej hakami drabinki z mineralnego włókna. Pierwsze kroki w nowym przejściu były ciężkie, potem stroma ścieżyna doprowadziła go do nowego obszernego korytarza. Mogło nim maszerować kilku ludzi na raz. Tyle że nie w dół, lecz uparcie w górę.

Zdało mu się, że jeszcze kilka kroków, a wyjdzie na powierzchnię, na otwartą przestrzeń. Zaczął sobie wymawiać, że dał się ponieść szaleństwu jak jakiś pospolity poszukiwacz przygód, gromić siebie, że zawierzył swej duszy odmieńca, a nie doświadczeniu społeczności.

Rozkojarzony nie zauważył, że ścieżka od czasu pewnego już nie wznosi się, choć i nie opada. Kiedy się ocknął, skoczył przed siebie.

Teraz korytarz wyraźnie już prowadził w dół. Targ rozejrzał się. Galeria wyglądała właściwie jak koryto podziemnej, wyschłej nie wiadomo kiedy, może tysiąclecia temu, rzeki. Kiedy się nad tym głębiej zastanowił – zaniepokoił się. Z tego, że kiedyś był tu nadmiar wody, nie musiało wynikać, że w okolicy tej teraz znajduje się choćby jej kropla. Raczej odwrotnie. Przecież wszystkie znane Ostatnim Ludziom źródła tryskały daleko od miejsc, gdzie kiedyś płynęły rzeki.

To była prawie reguła!

Trzy razy jeszcze okazywało się, że podziemny korytarz niby to kończy się ślepym zaułkiem i za każdym razem Targ jednak odnajdywał przejście. Za czwartym razem pomyślał, że tym razem już naprawdę doszedł do końca, do jakiejś przepastnej jamy.

## AGONIA

Zmęczony, zrozpaczony, przysiadł na jakimś głazie. Ta jama była kresem, trzeba było zawrócić. Ale gorące serce i trzeźwy osąd, to dwie różne rzeczy. Postanowił sforsować przepaść.

– Nawet, gdyby tu miał zginąć, no to co? – wykrzyknął i zaczął się zsuwać, zdawszy się na szczęście. Jakimś cudem udało mu się zejść trzydzieści metrów niżej. Nagle zrobił nieostrożny ruch i poleciał w dół, w ciemność. – Koniec – wyszeptał.

### V. PRZEPAŚĆ

Coś nim strasznie szarpnęło. Jedno wiedział – nie zawadził o granitowy blok, ale zawisł w próżni na czymś elastycznym. Zszokowany stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, zrozumiał, że to szelki plecaka zaczepiły się o występ skalny, chroniąc go w ten sposób od śmierci na dnie przepaści. Szelki te, jak i drabinka, były wykonane z mineralnego włókna. Wiedział, że nie zerwą się. Mogły się tylko ześlizgnąć z zaczepu.

Był dziwnie spokojny. Bez pośpiechu rozważał, jaką ma szansą na uratowanie życia. Obmacał ścianą skalną, była chropowata, miała szczeliny, można się było w nią wczepić palcami. Pod nogą poczuł jakieś oparcie, maleńką półkę. Chwytnąjąc się występu, o który był zaczepiony, opierając się na maleńkiej platformie, usadowił się tak, że poczuł się prawie wygodnie. Na tyle, że odczepił szelki plecaka i, zyskawszy swobodą ruchów, zaświecił promiennik.

Snop światła ukazał się w skale, powyżej Targa, rynienki, bruzdy i wycięcia. Mógł zatem wspiąć się na poziom, z którego spadł. Poniżej ziała przepastna studnia o gładkich, pionowych ścianach.

– Mogą się wspiąć. Zejść – nie...

W skroniach mu dudniło, ciało i umysł miał odrątwiałe. Upadł na duchu tak bardzo, że prawie uległ pokusie samozniszczenia. Pokusie runięcia w dół, w wywołującą zawrót głowy otchłań ciemności.

Kiedy powrócił do duchowej równowagi, zaczął wodzić dłonią po granitowej ścianie. Na poziomie bioder wyczuł jakieś wgłębienie.

Przykucnął i krzyknął radośnie: półka, na której stał znajdowała się na prawie jednym poziomie z wejściem do jakiejś pieczary. Zaśmiał się w duchu. Ryzyko opłaciło się.

Wszedł do pieczary. W świetle promiennika rozjarzyła się olśniewająco. Promiennik obudził duszą minerałów: kryształów i gemm, kamieni szkarłatnych, pomarańczowych, żółtozłoty, hiacyntowych i zielonomodrych. Lśniły jak gorączkująca podziemna zorza.

Targ po raz pierwszy w życiu zobaczył ozywające kamienie. Nie bał się. Patrzył na nie z szacunkiem, z czcią dla ich bezgłośnej egzystencji, która od prapoczątku zachowała nienaruszoną formę i utajoną witalną siłę. Skały przetrwają ludzi, pomyślał, a przyjdzie i taki czas, że zwyciężą Ferromagnetycznych.

W błysku olśnienia pojął, że tak mu nienawistne pułapki, które na człowieka zastawiła ziemia, obligują go do wydatkowania energii twórczej, koniecznej, by stał się cud przeistaczający męczarnie przeszłości w obiecujący kształt przyszłości.

W głębi pieczary roiło się od kapryśnych uskoków i ścian zagradzających przejście. Trzeba się było na nie wspinać, by iść dalej. W końcu przejście stało się tak karkołomną stromizną, że można się było obawiać natknięcia na nową przepaść. Ale wnet teren wyrównał się;

stał się wygodny jak gościniec. Jak galeria o coraz niższym stropie.

Nowa ściana załamała go. Wydawała się nie do przebycia. Usiadł wyczerpany. Czy miał wracać? Czy będzie miał dość sił, żeby się stąd wydostać?

Trwał w bezruchu, otępiały. Od czasu do czasu tylko podnosił promiennik i oświetlał ścianę. Wstał wreszcie i w ataku szału zaczął wciskać palce w jej szczeliny, szamotać się z każdą szczyrbą. Nagle

drgnął jakiś niezbyt dobrze osadzony w skale blok. Serce Targa zabiło mocniej.

Głucho stękając, Targ zaatakował ten blok. Blok zakołysał się i wypadł ze ściany, omal nie miażdżąc atakującego. Po bloku został w skale trójkątny otwór. Za otworem ciemniał korytarz. Wsunął się weń, pochylony. W jakiś czas potem mógł się już wyprostować, a jeszcze później iść już zupełnie swobodnie. Korytarz skończył się nagle bezdenną, wąską szczeliną. Targ przeskoczył ją. Dwadzieścia metrów dalej młodzieniec poczuł się jakoś dziwnie. Wyjął hydroskop...

Coś nieuchwytnego, jak mgła, pobyło mu twarz. W świetle promiennika nie było widać jeszcze niczego, ale hydroskop wykazał obecność wilgoci. Woda!

Targ krzyknął triumfalnie. I przysiadł sparaliżowany nagłością odkrycia. Bezgraniczną radością zwycięzcy. Po chwili przeraził się. Bez wątpienia była tu gdzieś woda. Pomyślał, że zwariuje, jeżeli okaże się ona nikłym źródłem lub zatęchłym, malutkim zastoiskiem. Obezwładniony obawą, ledwo powłócząc nogami zszedł niżej. Oznaki, że może, że jednak... mnożyły się. W dole coś migotało.

Kiedy obszedł pionowy występ skalny – zamarł. Zobaczył jezioro!



## VI. FERROMAGNETYCZNI

Dwie godziny przed świtem, kiedy noc bywa najczarniejsza Targ stanął z powrotem u wyjścia tej skały, od której rozpoczął wędrówką w krainą mroku i ciemności. Wyczerpany patrzył na zachodzący, podobny do zagasającego paleniska, księżyc. Na niebie rozbłysły jaśniejszym światłem gwiazdy.

Chciał wstać z głazu, na którym przysiadł i nie mógł. Nogi miał jak z kamienia. Ramiona bolały go. Umęczone ciało domagało się wypoczynku. Siedział więc dalej, myśląc o godzinach przebytych w otchłani Ziemi. Powrót miał po prostu straszny. Mimo tego że idąc w tamtą stronę znakował drogą, zgubił się wracając. Raz nawet zemdłał z wyczerpania. Zupełnie jak górnik zmuszony do zbyt długiego przebywania pod ziemią w ciemnościach, stracił poczucie czasu.

Ale wyszedł. I patrzył teraz na gwiazdy. Niedługo wstanie świt.

– Świt! Dzień! – bełkotał ekstatycznie, wyciągając ramiona ku wschodowi. Potem zamknął oczy i – nie kontrolując więcej tego, co robi – położył się na ziemi.

Obudziła go drażniąca czerwień. Otworzył oczy i szybko je przymknął. Na niebie wisiała olbrzymia tarcza słońca.

– Wstawać!

Ale wstać nie mógł, przygwożdżony do ziemi. Myśli plątały mu się.

Przypomniał sobie, że kiedy zasypiał, poczuł na całym ciele jakieś dziwne ukłucia. Teraz, oglądając dłoń, zobaczył na skórze charakterystyczne różowe cętki.

– Ferromagnetyczni – wyszeptał. – Piją moje życie.

Był zbyt otępiały, by się przerazić. Wszystko wydawało mu się odległe, obce, niemal symboliczne. Nie cierpiał. Odczu-

## AGONIA

wał nawet przyjemność. Upojny zawrót głowy. Słodkie oszomienie. Musieli je chyba odczuwać ludzie poddani przymusowej eutanazji... Nagle przypomniał sobie Ere i Avrę. Wstąpiła weń życiodajna energia.

– Nie chcę umierać! – krzyknął. – Nie chcą!

Wspomniał swą walkę o wodę, cierpienie, zwycięstwo. Tam, w Oazie, czekał na niego ktoś tak świeży jak poranek. Byłoby się teraz nie poddać. Przecież chciał jeszcze przeżyć niejednego brzask i niejedną upajającą wieczorną godzinę. Nie ulegnie Tamtym!

Heroicznym wysiłkiem woli – wstał.

### VII. WODA, MATKA ŻYCIA

Avra nie od razu spostrzegła nieobecność brata. Poprzedni dzień był tak wyczerpujący. Pomyślała, że prawdopodobnie śpi jeszcze, sfatygowany. Ale po dwu godzinach, zdetonowana, zapukała w ścianoprzegrodę pokoju, który Strażnik zajął na noc. Cisza. Może wyszedł gdzieś, podczas gdy ona odpoczywała? Zapukała raz jeszcze, potem nacisnęła przełącznik. Ścianoprzegroda uniosła się automatycznie. Pokój był pusty.

Rzeczy Targa leżały porządnie poukładane. Nie rozłożone łóżko z mineralnego elastiku tkwiło w meblościance.

Przybory toaletowe nie były ruszone. Nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek przebywał tu nie tylko rankiem, ale i w nocy. Złe przeczucie ścisnęło serce Avry. Wybiegła, by poszukać Mano.

Oboje zaczęli wypytywać ludzi i ptaki, ale nie otrzymali żadnej odpowiedzi. Zaniepokoił się nie na żarty. Przecież Oaza po trzęsieniu roiała się od pułapek. Targ mógł wpaść w jakąś szczelinę, mogło go pochłonąć osuwisko...

– A może wyszedł gdzieś o świcie? – zapytał Mano. – Targ jest taki akuratny. Mógł posprzątać pokój... Chodźmy go poszukać.

Avra dygotała ze zdenerwowania. Linie komunikacyjne, choć nie wszystkie, zostały uszkodzone. Poszukiwanie Targa przez łącza było prawie niewykonalne. Koło południa nadlatująca chmara ptaków zaanonsowała:

– Targ znalazł się.

Avra usłyszała je, błędząc zasepiona pomiędzy rumowiskami na skraju Oazy i pustkowia. Wyszła poza obwałowania i zobaczyła go.

Targ stąpał mozolnie...

Ubranie miał podarte. Otarcia, rany i zadrapania pokrywały twarz, ręce, szyję. Był ostatecznie wyczerpany. Tylko oczy mu pały.

– Gdzieś ty był?! – zawołała Avra.

Odpowiedział: – Przychodzą z otchłani.

Nie dodał niczego więcej do tej zadziwiającej wypowiedzi.

To, iż się odnalazł rozniosło się po Oazie lotem błyskawicy. Podeszli do niego z wymówkami piloci z Wysokich Źródeł.

– Nie róbcie mi wymówek – odpowiedział im. – Przynoszę Wielką Nowinę!

Zaszokował wszystkich. Przyniesć Nowinę można było tylko w prastarych czasach, kiedy Ziemia nie była jeszcze do końca poznana, kiedy życiem ludzkim rządził ślepy los. Kiedy narody zwalczały się, a jednostki mordowały. Kiedy istniała konkurencyjność celów. Ale teraz?

Kiedy ziemia stała się prawie zupełnie wyschnięta? Kiedy ludzie zaprzestali walki między

sobą o cokolwiek? Kiedy każdą dziedzinę działalności ludzkiej regulowało nie zmieniane od wieków Prawo? Kiedy już nikt, oprócz aparatury i ptaków, nie potrafił przewidzieć niczego?

Uznano, że słowa Targa są niestosownym, dziwacznym żartem.

– Wielką Nowinę – powtórzył Targ uparcie, patrząc prosto w twarz niedowiarkom.

– Czyś ty zwariował, Strażniku?

– Wkrótce zobaczycie, czym zwariował. Chodźmy przed Wielką Radę Ziemi Czerwonej.

– Ta Rada nie może się ciebie wprost doczekać.

Targ milczał. Powiedział tylko do siostry: – Idź, przyprawdź tę, którą wczoraj uratowałem... Jej obecność jest konieczna.

Zebrała się Wielka Rada Ziemi Czerwonej. Cimor, przewodniczący Rady, zaczął monotonnym głosem:

– Przyjechaliście na ratunek Ziemi Czerwonej. Tymczasem wasza Oaza, Ziemia Wysokich Źródeł, przestała istnieć. Koniec ludzi jest bliski... Oazy nie mają rozeznania, która której może pomóc, która którą ocalić...

– Oazy już nie mogą sobie pomagać – przerwał mu Wielki Dystrybutor Wody, Rem. – Prawo tego zabrania. Sprawiedliwość społeczna wymaga, by w obliczu wszechogarniających katastrof i alarmującego zaniku wód, jakiegokolwiek rodzaju solidarności międzyludzkiej przestał istnieć. Każda z Oaz musi sobie radzić sama.

Targ wystąpił kilka kroków przed Wysłanników:

– Woda może się pokazać na nowo.

Członkowie Rady patrzyli na niego pogardliwie, milcząc. W końcu jeden z nich rzekł:

– Wszystko może się okazać możliwe, młody człowieku. Ale nie woda.

Strażnik spojrzął na zebranych. W tłumie spostrzegł świetliste włosy Ere. Zaczął od nowa drżącym głosem: – W Ziemi Czerwonej może się na nowo pokazać woda.

Dostrzegł na kilku twarzach cień zainteresowania.

– Woda może się pokazać na nowo! – krzyknął Targ z mocą. – Mówię tak, bo wiem to. Bo sam ją widziałem na własne oczy!

Tłum zafalował. Tylko jedno jeszcze mogło ludzi zelektryzować: wyobrażenie tryskającej wody. Szczerość i zapalczywość Targa wzbudziły zarazem nadzieję i nieufność. Mimo

wszystko nie uwierzono mu, patrząc na jego ubranie w strzępach, nazbyt błyszczące oczy, wielu pomyślało, że co prawda niezwykle rzadko, ale zdarzali się szaleńcy między Ostatnimi Ludźmi.

Niektórzy zaczęli wykonywać manewr otaczający Targa. Strażnik zrozumiał znaczenie tego manewru, błyskawicznie otworzył plecak i wyjął hydrograf. Ci, którzy pierwsi zobaczyli zapis, zaczęli krzyczeć z radości. Potem wszystkich ogarnęła egzaltacja. Woda, święta Woda, Woda budząca nabożny szacunek nie zanikła!

Mano, bardziej od innych podniecony, stentorowym głosem obwieścił Wielką Nowinę przez

nadajnik. Wieść rozniosła się po Oazie. Ludzie zaczęli szturmować salę obrad.

Targ przestał być Targiem, Strażnikiem, zwyczajnym Wyśłannikiem zaprzyjaźnionej Oazy. W jednej sekundzie przestoczył się w Bóstwo. Odmłodniali o całe tysiąclecia ludzie patrzyli na niego w mistycznym uniesieniu. Zasepione twarze rozjaśniły się. Oczy zabłyśły ogniem. Nadzieja ocalenia przerwała tamę odwiecznej rezygnacji. Nikt nikogo nie słuchał. Wszyscy krzyczeli.

Tylko Targ mógł nakazać ciszę. Gestem dał do zrozumienia, że chce mówić. Wszyscy umilkli, wpatrując się z zachwytem w jego usta. Strażnik, szukając wzrokiem jednej między czarnowłosymi blondynki, rzekł:

– Ludu Ziemi Czerwonej! Odkrycia dokonałem na waszym terytorium. Woda należy do was. Ale prawo stanowi, że jest ona przede wszystkim moją własnością. Oddam ją wam w zamian za uzyskanie pewnego przywileju.

– Zostań Najważniejszym spośród nas – powiedział Cimor, przewodniczący Rady. – Tak chce Kodeks.

## AGONIA

– Uznania nie tego przywileju domagam się od was – powiedział cicho Strażnik i wszedł w robiący mu miejsce tłum. Stał przy Ere.

Skłonił się jej:

– Za ciebie, pani, oddam prawo do własności wody ludowi Ziemi Czerwonej. Decyzja leży w twoich rękach...

Ere zadrżała, zaskoczona. Takich słów nigdy nie słyszała. W innych warunkach nawet by ich nie pojęła. Ale teraz, kiedy jej serce płonęło szalonym uniesieniem, kiedy jej wyobraźnię porwała wizja podziemnych krynic, ogarnęło ją wzruszenie, a uczucie którym obdarzył ją Targ, przeniknęło żarem jej dziewczęcą duszę.

## VIII. ZOSTAŁA TYLKO ZIEMIA CZERWONA

Katakлизм zniweczył wszystkie Oazy. Te, w których znikła woda, zostały starte z powierzchni ziemi omal w mgnieniu oka. Tak stało się z Ziemią Wysokich Źródeł, z której żarłoczne trzewia planety wyssały całą wilgoć w ciągu niespełna osiemnastu miesięcy.

Tylko Ziemia Czerwona krzewiła się bujnie. Odkryte przez Targa podziemne jezioro dawało aż nadto życiodajnego płynu i to mniej zanieczyszczonego, niż poprzednie, stracone ujęcia. Z jeziora korzystali nie tylko mieszkańcy Ziemi Czerwonej, ale i nieliczne grupy uciekinierów, którzy uszli z życiem z Oazy Ziemi Zburzonej i Wysokich Źródeł.

Na przyjęciu uchodźców właśnie z tych Oaz, Ziemia Czerwona zakończyła akcję niesienia pomocy. Po tysiącletnich wdrażania do posłuszeństwa Prawu, Ostatni Ludzie zaakceptowali bez szemrania jego wyroki. Nie rozpętały się żadne wojny. Zaledwie kilka jednostek usiłowało wyłamać się spod obowiązujących przepisów i przyszło do Ziemi Czerwonej z korną prośbą o ratunek. Prośby odrzucano.

Okazywanie litości było wykroczeniem; zarazem niesprawiedliwością najwyższego rzędu.

W marę wyczerpywania się zapasów żywności, każda z dogorywujących Oaz wyznaczała tych, którzy winni się byli poddać eutanazji. Najpierw poświęcono starców, potem dzieci z wyjątkiem kilkorga, bowiem hipotetycznie zawsze istniała szansa na odrodzenie ludzkości. Następnie skazano tych, którzy mieli jakieś ułomności psychosomatyczne, wątłych i słabych.

Eutanazja dla nikogo nie była rzeczą straszną, przeciwnie – rozkoszą. Od chwili, kiedy wstrzyknięta trucizna zaczynała



swe niszczycielskie dzieło, skazaniec przestawał się bać. Trwał w ekstazie, a jego sen stawał się głęboki jak śmierć i ku niej prowadził.

Ludzi zaczęła radować sama myśl o niebycie. Wielu uprzedzało moment skazania. Wybuchła epidemia samobójstw, zupełnie jakby ten rodzaj śmierci był zaraźliwy. W Oazach Równikowych nie czekano nawet na to, by skończyły się zapasy żywności. Jeszcze została woda w zbiornikach, kiedy ostatni ich mieszkańcy zażyli truciznę.

Po czterech latach od chwili kataklizmu samobójstwo popełnił ostatni człowiek w Oazie Wysokich Źródeł.

Na miejsce wymarłych Oaz wdarła się pustynia, a Ferromagnetyczni zastąpili ludzi.

Ziemia Czerwona kwitła. Oazę odbudowano bardziej na wschód, gdzie było mniej Tamtych. Wytępić Ich było łatwo. W ciągu szesnastu miesięcy postawiono nowe domy, użyźniono ugory, zbudowano nowe wodne ujęcia. Pierwszy zbiór plonów był tylko dobry. Następny cudownie obfity.

Mieszkańcy Ziemi Czerwonej, mimo iż zostali sami na całej planecie, odzyskali nadzieję. Czyż nie byli narodem wybranym? Tymi, którym tak wroga do tej pory natura okazała znienacka łaskawość?

Targ podtrzymywał we wszystkich to przekonanie. Czczono go. Wierzono w niego. Okazywano szacunek równy kultowi. Odkrycie wody przede wszystkim na niego niesamowicie wpłynęło. W swym zwycięstwie upatrywał chęć dania człowiekowi przez przyrodę rekompensaty za wszystkie poczynione szkody. Uważał je za widomą oznakę, iż jednak istniejąca Opatrzność czuwająca nad tym, by ludzki gatunek nie zmarniał.

Miał coraz rozleglejsze plany. Aspiracje równe aspiracjom legendarnych herosów. A miłość, jaką żywił dla Ere i swych dwojga dzieci, była ściśle związana z marzeniami, o których nie odważał się napomknąć nikomu, prócz swej żony i siostry. Nikt inny nie zrozumiałby go.

Natomiast Mano po prostu żył. Nie myślał ani o przeszłości, ani o przyszłości. Żył chwilą teraźniejszą, beztrosko jak srebrzysty ptak, których chmary krążyły nad Oazą. Smakował spokój każdego monotonnie upływającego dnia u boku swej żony, Avry. Nie tęsknił za ni

czym, tak jak nie tęskniła za nim dwójka jego dzieci z pierwszego małżeństwa. Ziemia Czerwona udzieliła im azylu, były bowiem świetnie zbudowane, miały też niebywale odporną psychiką. Od czasu do czasu Mano przepełniała jakaś ulotna melancholia, ale tylko wówczas kiedy wspominał utratę ojczystej Oazy Wysokich Źródeł.

Targ był inny. Przy każdej okazji kierował ku tamtej Oazie swój samolot. Poszukując innych źródeł wody, odbiegał daleko od zadbanych, bezpiecznych dróg. Wdzierał się na tereny spotworniałe od palpitującego bytowania Tamtych. Wraz z kilkoma innymi mężczyznami sondował niezliczone szczeliny w górach; także podziemne pieczary. Nie zniechęcał się brakiem sukcesu. Pouczał, że na sukces należy zasłużyć upartym wysiłkiem woli i niezmierną cierpliwością.

## IX. ZANIK WODY

Pewnego dnia, wracając znad pustkowia, dostrzegł z pokładu swego samolotu, iż mieszkańcy Oazy Ziemi Czerwonej tłoczą się przy głównym zbiorniku wody. Przez teleskop zobaczył, że wśród tłumu znajdują się także członkowie Wielkiej Rady i Główny Dystrybutor.

Z szybów prowadzących do wodnego ujęcia wynurzyło się kilku górników. Od ptaków, które nadleciały mu na spotkanie, dowiedział się, że przyczyną niepokoju stało się podziemne jezioro.

Kiedy wylądował, natychmiast otoczyli go dygocący ze strachu ludzie. Pokładali oni nadzieję tylko w nim. Ufali tylko jemu. Mróz przeniknął go do szpiku kości, kiedy usłyszał, co mówi Mano:

– Poziom wody w jeziorze opadł.

Ludzie potwierdzili tragiczną wieść, a Główny Dystrybutor Wody, Rem, oświadczył: – Zgadza się. Poziom wody w jeziorze obniżył się o sześć metrów.

Twarz Rema jak zwykle była nieruchomą maską. Nigdy żadne uczucie, żadne pragnienie nie zniekształciły linii jego warg, nie zmieniły wyrazu oczu podobnych do dwu odłamków łupku, w których umieszczono źrenice. Był doskonale wykształcony.

Wiedział wszystko o wodzie, źródłach, ujęciach i szybach drążonych w skale.

– Przecież jezioro nie może być wiecznie takie same – powiedział Targ.

– To prawda, ale normalny ubytek wody nie przekraczał nigdy dwu metrów na określoną jednostkę czasu. Nigdy też poziom jeziora nie opadł tak gwałtownie...

– Czy woda zanika nadal?

– Tak. Aparaty rejestrujące dokładnie sprawdzono. Rano nie działa się jeszcze nic alarmującego, dopiero koło południa zaczęło się. W tej chwili jezioro zanika w tempie metr pięćdziesiąt na godzinę.

Ram, mówiąc to, wpatrywał się w jeden punkt swymi kamiennymi oczami. Nieruchomy, zaledwie poruszał wargami: – Według nurków, na dnie jeziora nie powstała żadna nowa szczelina. Winę za stan rzeczy ponoszą prawdopodobnie zasilające jezioro źródła. Możliwe w związku z tym są dwie hipotezy: coś zatarasowało źródła lub one same przemieściły się i woda odprowadzana jest gdzie indziej. Albo – źródła wyschły. Ciągle mamy jednak nadzieję.

Nadzieja! Usłyszeć to słowo z ust Rema było czymś równie niesamowitym, jak zobaczyć zniemacka topniejący lodowiec.

Targ zapytał:

– Czy zbiorniki są pełne?

Rem, odpowiadając mu, omal się nie poruszył:

– Zawsze są pełne! A teraz wydałem rozkaz, by wykopano i napełniono nowe. Od godziny

do akcji włączone są wszelkie możliwe maszyny.

Olbrzymie maszyny robiły podkopy w granitowym podłożu aż do zmroku. A kiedy na niebie zabłyśły pierwsze gwiazdy, nad Oazą zaległa letargiczna cisza.

Targ zjechał szybko do podziemnego jeziora. W świetle gigantycznego promiennika zobaczył to miejsce, którego dotknął swego czasu jako pierwszy na Ziemi człowiek. Uważnie zaczął studiować każdy szczegół okolicy.

Jezioro zasilaty dwa źródła. Jedno biło dwadzieścia cztery metry poniżej lustra wody, drugie jeszcze głębiej. Nurkowi

udało się dotrzeć do pierwszego i spenetrować ujście. Było wąskie. Postanowiono poszerzyć je dla lepszego rozeznania w sytuacji. Ale pierwsze wibracje maszyn sprawiły, że skała obsunęła się nieco. Wprawilo to wszystkich w przerażenie. Jeżeli istniała gdzieś szczelina, przez którą wyciekała woda, tąpnięcie mogło ją teraz poszerzyć. Argo, Najstarszy z Rady, rzekł:

– Kataklizm oddał nam w posiadanie to jezioro. Inaczej nikt nie odkryłby go. Ten sam kataklizm, kończąc swe dzieło, może je nam odebrać. Nie róbmy już niczego nowego, wszystko stało się niepewne.

Może tylko skończmy to, co zaczęliśmy. Słowa te wydały się wszystkim rozważne: zrezygnować w obliczu tajemnicy.

Zanim zapadła noc, wyciek stał się mniejszy. Fala szczęścia przeszła przez Oazę. Targ i Główny Dystrybutor nie podzielali tej radości. Wiedzieli, że odpływ umniejszył się tylko dlatego, iż lustro znajdowało się teraz poniżej istniejących jednak w litej skale szczelin. Jeżeli dodatkowo okaże się, że źródła wyschły, to poziom jeziora zatrzyma się na czterech metrach głębokości. Ta ilość plus woda ze zbiorników, będzie wówczas całą wodą, jaką będą posiadali Ostatni Ludzie do końca swych dni!

Całą noc drążono zapasowe zbiorniki. Całą noc woda, matka życia, nie przestawała zanikać w gargantuicznym brzuchu planety. Nad ranem jezioro miało już tylko osiemset metrów głębokości. Na szczęście nowe rezerwuary były już gotowe do napełniania. Każdy z nich mógł pomieścić trzy tysiące metrów sześciennych wody.

Napełnianie zbiorników znacznie spłyciło jezioro. Można już było zobaczyć ujście pierwszego ze źródeł. Targ rzucił się, by je zbadać. Znalazł świeże szczeliny i tarasujące głazy. Kon-

sekwencje mogły być tragiczne. Minął jeszcze jeden dzień. W Oazie zapanował ponury nastrój.

Po pięciu dniach odsłoniło się ujście drugiego źródła. Z ujścia tego nie tryskała woda.

Teraz Ziemia przestała połykać jezioro. Drażnienie jeszcze jednego zapasowego zbiornika nie było konieczne, ale Rem nalegał, by to zrobić. Przez sześć następnych dni maszyny i ludzie pracowali bez ustanku.

Pod koniec szóstego dnia Targ przysiadł przed domem. Skonany, trawiony gorączką,

rozmyślał. Oazę spowiły srebrzyste półcienie zmierzchu. W otchłani nieba błysnął Jowisz, a ostry sierp księżycy ciął nieskończoność. Bez wątpienia i na tamtych ciałach niebieskich istniały królestwa, które – zaznawszy uroku młodości i słodyczy lat dojrzałych – skończyły w nędzy i starczym, haniebnym strachu.

Przyszła Ere. W promieniach księżycy jej włosy zdawały się emanować własne, łagodne i ciepłe światło. Targ przytulił się do niej i szepnął:

– Przy tobie żyłem jak niegdyś nasi Przodkowie... Ty jesteś marzeniem Historii, fantazją Genezis, Obecnością, która cieszy samym istnieniem. Myślałem, że będę żył przy tobie długo, ale teraz, Ere... Jeżeli nie odkryjemy nowych źródeł, Ostatni Ludzie będą mieli przed sobą już tylko dziesięć ostatnich lat.

## X. TRZĘSIENIE ZIEMI

Minęło sześć sezonów. Główny Dystrybutor nakazał wydrażenie licznych podkopów, by odnaleźć wodę. Na próżno. Ziemia drwiła sobie z ludzkiego wysiłku. Z miesiąca na miesiąc człowiek miał coraz mniej nadziei. Po okresie wzmożonej aktywności do Oazy powróciła atawistyczna regresja. Wiara opuściła wszystkich. Śmierć wyciągnęła po człowieka swe czarne ramiona.

Kiedy nadszedł czas, by Wielka Rada wyznaczyła pierwszych skazanych na eutanazję, dobrowolnych zgłoszeń było więcej niż wyroków rygorystycznego Prawa.

Mano, choć nadal nie myślał o jutrze, stracił odwagę. W jego duszy odrodził się fatalizm. Kiedy zaczęto wykonywać wyroki, całkowicie opuściły go siły. Myślał już tylko o niebycie, o nicości. Wszystko zaczęło mu się wydawać wrogie – nawet światło księżyca. Czekał smętnie na koniec. Miłość do Avry zagasła w nim tak samo jak raptownie miłość do samego siebie. Nie przejawiał najmniejszego zainteresowania dziećmi. Upewnił się tylko, że już niebawem anestezjologdy odbiorą im życie. Przestał mówić. Przestał słuchać. Słowo stało mu się wstrętne. Całymi dniami trwał w niemym stuporze. Prawie wszyscy mieszkańcy Oazy zachowywali się podobnie.

Zaniechano prac. Nikt nie zmuszał już ludzi do ożywczego wysiłku. Poza kilkoma, utrzymywanymi jako tako tylko po to, by zebrać choć trochę świeżego ziarna, wszystkie uprawy wyschły. Woda w zbiornikach nie wymagała starań. Była i tak chroniona przed odparowaniem. Nie mogła się też zepsuć, bo w stanie ciągłej świeżości utrzymywała ją doskonale funkcjonująca aparatura. Zbiorniki wystarczyło doglądać raz na dzień. Ich przegląd ułatwiały automatyczne wykrywacze uszkodzeń.

Tak więc już nic nie mogło wytrącić z apatii Ostatnich Ludzi. Niepodatni na radość i troskę nie kochali nikogo. Marazm i inercja, w które popadli, stały się bastionem, przez który nie mogły się przedrzeć także depresja i samobójcze myśli.

Tylko Targ, Ere i Avra byli inni. Ta trójka ciągle powodowała się jeszcze uczuciami. Nie uznawała oczywistego za oczywiste. Przeciwwstawiała potędze planety swe kruche jak wysuszone trawy istnienie.

Pełne miłości, nadziei i wiary. Pełne tego, co odwiecznie jest motorem i istotą życia.

Strażnik nie zarzucił poszukiwania wody. Utrzymywał też w gotowości całą serię samolotów i naziemnych pojazdów. Nie pozwalał popaść w ruinę Stacjom Nadawczo-Odbiorczym. Czuwał nad sejsmografami.

Pewnego razu, po powrocie z miejsca, które niegdyś było Oazą Ziemi Zburzonej, nie mogąc zasnąć, wpatrzył się przez przezroczystą metalową płytkę okna w konstelację, w czasach mitologicznych zwaną Wielkim Psem.

W jej skład wchodziła, być może gorętsza od ogrzewającego Ziemię Słońca, jedna z najjaśniejszych gwiazd na niebie, Syriusz. Temu obcemu słońcu powierzył Targ swe niewygasłe tęsknoty, marzenia i strach przed tym, co zobaczył w świetle dnia, oblatując okolice. Powierzchnia planety – i tak już ponura, najeżona skałami i zakwitła fioletowym trądem Tamtych – spotworniała gdzieniegdzie, zakątkami, nowym rodzajem Ich istnienia: trzymetrowymi, poruszającymi się aż pół kilometra na godzinę Mutantami.

Strażnik przeraził się na ich widok. – Jeżeli ta rasa dojdzie do Oazy, pokona nas!

Czuły niepokój zmusił go do zajrzenia do sypialni. W świetle promiennika zobaczył ciągle go zdumiewające włosy



Ere i świeże twarzyczki dzieci. Serce topniało mu na ich widok. Tyle w nich było młodości, żywotności, siły. I to wszystko miałyby zniknąć?

Zamrzeć? Gdybyż chociaż dzieci były chorowite, skażone, zdegenerowane. Wtedy w ich śmierci można by dopatrzeć się jakiejś logiki. Ale one były tak piękne, jak ludzie sprzed Ery Radioaktywnej.

Kiedy wychodził z sypialni, poczuł drgnięcie ziemi. Zaledwie to odczuł – wszystko wróciło do normy. Ciemności i cisza przytłaczały Oazę. Targ stał się czujnie nieufny. Zaczął nasłuchiwać, ale enklawa pogrążona była we śnie. Szarawa, wyprofilowana gwiazdym światłem Ziemia trwała w bezruchu. Na przezroczystym cyferblacie nieba migotały jak konające minuty czasu konstelacje: Pegaz, Perseusz, Strzelec.

– Czyżbym miał halucynacje? A może to był wstrząs, ale niewielki?

Wzruszył ramionami, lecz rychłe przeszył go dreszcz grozy. Jak mógł bezrozumnie przypuścić, by jakikolwiek wstrząs podłoża był bez znaczenia? Zaniepokojony poszedł popatrzeć na sejsmografy. Na jednym z nich cieniutki, nitkowaty zapis świadczył, że skorupa ziemska rzeczywiście drgnęła. Drugi nie wykazywał niczego.

Targ pobiegł do domu zachowanych przy życiu dwudziestu ptaków.

Spały. Zaledwie uniosły łebki, kiedy Strażnik zapalił światło. Zatem trzęsienie było leciutkie, ptaki były spokojne, nie przewidywały drugiego wstrząsu.

Uznał jednak, że jego obowiązkiem jest obudzić Szefa Straży.

Człowiek ten, bezwolny, o opóźnionym refleksie, niczego nie zauważył.

## AGONIA

- Zrobię obchód – zapewnił Targa. – Będziemy co godzinę sprawdzali sejsmografy.

To uspokoiło Targa.

### XI. UCIEKINIERZY

Obudziło go szarpnięcie za rękę. Otworzył oczy. Nad nim, blada jak śmierć, stała Avra. Taki jej wygląd świadczył tylko o jednym: stało się nieszczęście! Skoczył na równe nogi.

– Co się stało?

– Straszna rzecz. W nocy było trzęsienie ziemi, Wiesz o tym, bo sam je sygnalizowałeś.

– Tak. Bardzo lekkie.

– Tak lekkie, że oprócz ciebie nikt go nie odczuł... Ale skutki... potworne... Woda zniknęła z głównego zbiornika. A rezerwuar południowy popękał aż w trzech miejscach.

Targ zbladł mocniej od Avry. – Jak to? Nie sprawdzano sejsmografów?

– Ależ tak. Tylko że od rana ani drgnęły. A główny zbiornik trzasnął nagle właśnie nad ranem. Woda zniknęła z niego w ciągu dziesięciu minut. Południowy popękał pół godziny temu. Jakimś cudem zachowało się w nim trochę wody.

Targ nisko opuścił głowę. Wyglądał na całkowicie porażonego. Ramiona mu opadły. Wyszeptał trwożnie: – A więc jednak koniec.

To był koniec. Oaza zużyła już wodę ze wszystkich zbiorników, nie naruszone zostały tylko dwa rezerwuary, a te właśnie uległy zniszczeniu. Ludziom pozostały jeszcze tylko baseny wykonane z mineralnego tworzywa. Mogły one zaspokoić pragnienie pięciuset, maksimum sześciuset mieszkańców. I to tylko przez jeden jedyny rok.

Zebrała się Wielka Rada.

Podczas mrozących krew w żyłach obrad nie padło ani jedno zbyteczne słowo. Członkowie Rady, oprócz Targa, byli całkowicie zrezygnowani. Nie deliberowali. Ograniczyli się właściwie do odczytania odpowiednich ustępów Prawa i do

ich interpretacji w świetle zaistniałych okoliczności. Podjęte decyzje były proste, jasne, niemiłosierne.

Rem, Główny Dystrybutor Wody, podsumował:

– Populacja Ziemi Czerwonej zamyka się liczbą siedmiu tysięcy osobników. Sześć tysięcy jeszcze dzisiaj musi poddać się eutanazji.

Pięciuset musi umrzeć do końca miesiąca. Reszta będzie musiała potem zejść z tego świata partiami, co tydzień partia, aż pozostanie tylko pięćdziesiąt osób. Wyliczono, że osoby te będą mogły żyć jeszcze przez pięć lat. A jeżeli w ciągu tych pięciu lat nie znajdą nowych źródeł – człowiek przestanie istnieć.

Podsumowania słuchano beznamiętnie, bezrefleksyjnie. Tak ma być. Takie jest Prawo. Rem dodał:

– W pierwszej kolejności eutanazji zostaną poddani mężczyźni i kobiety po czterdziestce. Ci, którzy liczą więcej lat, zaczęną umierać pierwsi już od południa. Wykaz przeznaczonych do eutanazji jest już zrobiony. Należy tylko przeczytać listę.

To nieco poruszyło audytorium, ale tylko na chwilę. Z opuszczonymi głowami, ulegli, i ci z sali obrad, i ci stojący na zewnątrz, którzy debaty słuchali z głośników, milczeli. Tylko gdzieś na twarzy jakiegoś niedorosłka można było dostrzec cień rozpacz...

Nie poddał się tylko Targ. Jak oszalały pobiegł do domu, gdzie wzburzone, zbuntowane, kurczowo trzymające w ramionach dzieci, czekały na niego żona i siostra. Ich bunt był wyrazem miłości w kształcie nie znanym Ostatnim Ludziom. Tylko w dawnych epokach uważano, że miłość jest źródłem życia ważniejszym od słońca i wody.

Mano stał razem z kobietami. Tragedia obeszła go nawet, ale na krótko. Wnet otepiał, zmiażdżony – jakby skalnym blokiem – zrozumieniem konieczności śmierci.

Avra na widok Targa wykrzyknęła:

– Nie chcę!... Nie!... My tak nie umrzemy!

– Nie – uspokoił ją Targ. – Nie. My stawimy czoła werdyktowi Rady.

Mano ocknął się i zapytał: – I co zrobicie? Śmierć jest już bliżej niż życie. Przed wami nie ma czasu.

– Nieważne – zawołał Targ. – Nieważne! Uciekniemy!

– Ziemia jest wrogiem człowieka – posępnie rzekł Mano. – Ona was zabije. Będziecie umierali w męczarniach. Tutaj śmierć będzie przynajmniej słodka, czuła.

Targ przestał go słuchać. Trzeba było działać szybko, by móc zbiec przed południem, to znaczy godziną wyznaczoną na początek wykonywania wyroków.

Razem z Avrą przejrzeni samoloty. Targ dokonał wyboru maszyn i poszedł po zapasy wody i żywności. Avra tymczasem magazynowała paliwo. Przygotowania ukończyli przed dziewiątą rano. Pogrążony w stuporze Mano nie brał udziału w niczym. Ere pakowała ubrania.

– Mano – odezwał się Targ do szwagra i dotknął jego ramienia. – Musimy się śpieszyć. Chodź!

Mano potrząsnął głową. – Nie chcę zdychać na pustkowiu.

Avra przylgnęła do niego gwałtownie i czule. Wspomnienie miłości odmieniło na chwilę nastrój Mano. Ale tylko na chwilę. – Nie. Nie chcę!

Oparł się wszelkim prośbom. Z zaskakującą jak na tak zrezygnowanego człowieka żywotnością dał nawet odpór Targowi, który zamierzał zabrać go siłą.

## AGONIA

Robiło się późno. Targ wezwał szwagra po raz ostatni. Po-tem dał sygnał do odlotu. Maszyny wykołowały i wzbiły się ku słońcu. Avra rzuciła ostatnie spojrzenie na swój dom, w którym jej mąż czekał godziny śmierci. Zaszłochała konwulsyjnie.

### XII. LOT KU OAZOM RÓWNIKOWYM

Targ skierował się ku Oazom Równikowym. W innych Oazach, jak w matecznikach, kryła się śmierć.

W czasie swych samotnych oblotów planety dokładnie zbadał Oazę Wysokich Źródeł, Wielkiego Wąwozu, Niebieskich Piasków, Oazę Jasną i Siarkowej Doliny. Można tam było znaleźć trochę żywności, ale ani kropli wody. Natomiast w zbiornikach Oaz Równikowych – zachowało się jej jeszcze trochę. Bliższa z tych Oaz – Oaza Wydm – odległa była od Ziemi Czerwonej o cztery tysiące pięćset kilometrów. Mieli szansę dolecieć do niej w dwie doby.

Lot był koszmarem. Avra nie przestawała myśleć o bliskiej śmierci Mano. Kiedy słońce stanęło w zenicie – rozpaczliwie krzyknęła: – Godzina eutanazji!

Pod uciekinierami rozpościerało się pustkowie. Ziemia umarła.

Śmierć-Ziemia. Ale czas na tej potwornej Ziemi kończył się tylko dla człowieka. Dla Tamtych dopiero się zaczynał, przestrzeń była im bardzo przyjazna. Roili się na wzgórzach i w dolinach. W oczach uciekinierów – abominacyjni, niepojęci. Strażnikiem na ich widok targały sprzeczne uczucia: wstrętu i sympatii. Pomyślał, że istnieje jednak między Tamtymi a człowiekiem jakiś tajemny rodzaj braterstwa, wyrażającego się choćby tym, że oba te światy wyprze kiedyś królestwo minerałów.

Samoloty kontynuowały lot ku przeznaczeniu.

Żeby nie było potem żadnych niemiłych niespodzianek, postanowiono wybrać miejsce postoju jeszcze za dnia. Targ zdecydował się na wyglądającą bezpiecznie wyżynę z zielonkawego porfiru. Ferromagnetycznych było tu niewiele, łatwo

było ich wyprzeć. Wylądowali. Przymocowali samoloty do podłoża linami.

Tamtych rzeczywiście dało się usunąć w ciągu piętnastu minut.

Zorganizowali biwak.

Po posiłku, składającym się z mieszanki glutenu i esencji węglowodanowej, zbiedzy zaczęli czekać na zapadnięcie nocy.

Historia człowieka na tej ziemi zawsze była dramatyczna. Bywało, że przemierzał wrogie mu ostępy uzbrojony tylko w kamień czy maczugę. Bywało, że drżał nocami z zimna, głodu i grozy. Bywało, że wył z rozpacz w samotności – na jakimś cypelku, na skałce, wyrwawszy się z morderczego uścisku rzecznej topieli. Bywało, że zatracał się w drapieżnej dżungli czy pośród mokradeł. Ileż to już razy człowiek grał niezrozumiale tragiczne role w jednej i tej samej sztuce? Jednakże, mimo nieszczęść, podłości niedoli, wiedział, że ma przed sobą przyszłość. Nie oczekiwał, jak Targ z rodziną, na śmierć gatunku.

– A jednak muszę mieć nadzieję – pomyślał Strażnik, patrząc na swoje i siostry dzieci. – Muszę mieć nadzieję, iż te wątle istotki staną się nowym początkiem. Że z nich odrodzi się ludzkość...

Dusza Targa była jedną wielką skargą, nie poruszyło to jednak skrzęcej na niebie polarnej gwiazdy, nie zaćmiło tajemniczej fosforescencji Tamtych.

Posnęli. Czuwali tylko Tatg i jego siostra.

Oaza Wydm leżała na równiku pośród oceanu piachów, które tysiąclecia sprasowały w twardey grunt. Zbiegom zmroziło krew w żyłach: jak okiem sięgnąć, Oaza była zasłana zwłokami tych, którzy poddali się eutanazji na samym końcu. Nie było miejsca, w którym nie straszyłyby nieruchome, pogrązo-



ne w wiecznym śnie ciała. Wyjątkowo suche i czyste powietrze zmumifikowało je.

Mogły tak przeleżeć wieczność, zaświadczając o tragedii człowieka...

Żalobną kontemplację doliny śmierci zakłócił zbiegomy strach o własne, zagrożone aktywnością Żelazomagnetycznych, życie.

Teren w oddali wyglądał jak skażony fioletową zarazy. Niektórzy z Tamtych byli zatrwazająco wysocy.

– Szybko! Za obwarowanie! – zarządził nerwowo Targ. Nie musiał tego powtarzać. Avra i Ere były w pełni świadome grożącego niebezpieczeństwa.

Część Oazy, na której wylądowali, nie była zbytnio zniszczona, choć wszystkie domy i Stacja Nadawczo-Odbiorcza poprzewracane, a niektóre łącza zerwane. Jednak większość aparatów działała.

Targ pobiegł ku zbiornikom z wodą. Wiedział, gdzie ich szukać.

Znał ich położenie z uprzednich powietrznych rekonesansów. Kiedy do nich dotarł, serce zaczęło mu walić jak oszalałe, aż bał się podejść bliżej i sprawdzić ich stan. Wreszcie zdecydował się. – Nietknięte! – krzyknął w obłądnym zachwycie. – Mamy wodę na dwa lata! Teraz poszukamy bezpiecznego lokum.

Po długim marszu zdecydowali się, że zajmą mało zniszczoną trzęsieniami ziemi enklawę – tuż przy wschodnim obwałowaniu Oazy.

Ferromagnetycznych było tu mało. Bez większego nakładu sił można się było zabezpieczyć przed nimi dodatkowym ochronnym pasem.

Targ i Avra weszli do jednego z mniej zburzonych domów. Umieblowany był solidnymi sprzętami. Instalację miał w porządku. Wszędzie leżała tylko gruba warstwa piasku – pozostałość po huraganach. Czuło się w nim jednak jakąś tajemniczą, niewygodną obecność. Rodzeństwo zaczęło przeszukiwać pokoje. W sypialni Targ i Avra natknęli się na leżące w łóżku zwłoki w stanie tak daleko posuniętego rozkładu, że z trudem można było w nich rozpoznać ciała dwojga ludzi, w których niegdyś pulsowało życie, które drżały ze szczęścia, zatapiały się w rozpaczy...

Dla wszystkich innych ludzi, ale nie dla Targa i jego siostry, byłaby to pokazowa lekcja, iż

należy przyjąć postawę rezygnacji. Oni jednak, choć przerażeni, dyszeli żądzą walki...

Pochowali ciała tych dwojga. I ukrywszy dzieci pod opieką Ere, zajęli się niszczeniem Tamtych. A potem, wszyscy razem, zjedli swój pierwszy posiłek w nowej ojczyźnie.

– Odwagi – pocieszał Targ. – Przecież już było tak raz na tej ziemi, iż istniało tylko dwoje ludzi. Od nich wzięli się wszyscy, cały nasz rodzaj. Teraz jest nas więcej. Gdyby tamtych dwoje zmarło bezpotomnie, ludzkość nie zaistniałaby. Z nas może umrzeć nawet kilkoro, a i tak nadzieja na odrodzenie jest...

– Tak – westchnęła Ere. – Ale wtedy, dla tamtych dwojga, była woda.

Targ spojrział na nią z bezgraniczną czułością. – Czyż nie znalazłem już raz źródeł? – zapytał cicho i zatopił się jak ślepiec, z otwartymi oczami, w myślach. Po chwili ocknął się. – Wysprzątajcie dom i poukładajcie rzeczy. Ja przejrzę nasze zasoby...

Obejrzał dokładnie teren, który wybrali na osiedlenie. Oszacował pozostałą po zmarłych mieszkańcach Oazy żywność. Upewnił się, czy działa nie zniszczona aparatura, zwłaszcza nadajniki i odbiorniki tego sektora i przyległych. Wszystko było w porządku. Przemysłowy skarbiec szczęśliwie pozostał nietknięty, trwał jakby zamarty w oczekiwaniu na rozkwit ludzkości.

Targ nie przyleciał do Oazy z pustymi rękami. Przywiózł ze sobą wszelkiego rodzaju pomoce naukowe, księgi techniczne, annały pełne uwag, wskazówek i wspomnień.

Bał się tylko Tamtych. W okolicy było ich tylu, że wystarczyło przystanąć na chwilę, by poczuć, jak od ich aktywności drży ziemia.

– Oby tylko więcej naszego potomstwa! – rozmarzył się. – Ale byśmy im wydali wojnę!

– Doszedł do końca Oazy i stanął przerażony. Tam, gdzie niegdyś falowały łany zbóż, zobaczył Mutanty. Olbrzymy, nową rasę Ferromagnetycznych. Poczuł chłodny powiew śmierci.

### XIII. OAZA

Dni mijały. Zapadały się w otchłanie wieczności jak woda ginąca w czeluściach planety. Targ i jego rodzina żyli nadal. Jakby na przekór pułapkom i wyrokom Losu. W Ziemi Czerwonej także nieraz przypatrywali się podpełzającym pod Oazę pustkowiu, zwiastującemu ich koniec. Wtedy jednak troską i trwogą dzielili się z bliźnimi.

Teraz mogli już liczyć tylko na siebie: źdźbła życia rzucone na pastwę żarłocznej planety. Odrzucili eutanazję jako wyjście z sytuacji, bo ci, którzy się samorzutnie poddali, nie zwyciężyli przecież niczego – ich wybór nie był wyborem wolnym, lecz podyktowanym wsysającym się w niebyt smutkiem.

Zbudowali dodatkowe obwałowania. Wzmocnili zbiorniki wody.

Ułożyli w jednym miejscu i zabezpieczyli żywność. Co jakiś czas wyruszali na poszukiwanie wody. Przy okazji, wszędzie gdzie się dało, zbierali substancję wodorową. Było jej niezmiernie mało. Dawno temu, w czasach niebywałej prosperity myśli technicznej, miała ona służyć do przemysłowego wytwarzania wody. Kiedy okazało się, że woda przemysłowa nie może zastąpić naturalnej – substancję wyrzucono. Według starych ksiąg, substancja zdekomponowała się po wyrzuceniu i rozproszyła w przestrzeni międzyplanetarnej. Pewna jej ilość, podczas prób technicznych, wniknęła w ziemię.

Targowi udało się jej odkopać tyle, by materiał można było wykorzystać do próbnej produkcji wody przemysłowej przeznaczonej na zapas. Taki zapas nie rozwiązałby problemu, ale dałby szansę na przeżycie do momentu odnalezienia jakichś nowych źródeł.

Największym kłopotem Targa były Mutanty, zaczynające w najlepsze prosperować w piachach Oazy, ryjące w niej leje i

podkopy, penetrujące naturalne szczeliny ziemi. Aby Nowi nie zrobili podkopów pod obwałowaniem Oazy, wydrążono pod nim specjalne korytarze, których ściany powleczono bizmitem. Granitowe kolumny podtrzymujące stropy tych galerii osadzono na litej skale, co gwarantowało, iż nie tapną. Galerie te winny były, wedle wyliczeń Targa i Avry, wytrzymać trzydzieści lat, nawet przy założeniu, że Nowi w tym czasie wydatnie się rozrodzą.

### XIV. EUTANAZJA

Minęły trzy lata. Wody nie brakowało. Mieli też niezły zapas wody przemysłowej. Żywności było aż za dużo. Można ją było zresztą znaleźć w każdej z wymarłych Oaz. Ale nigdzie nie znaleziono nowych źródeł. Avra z Targiem niezmordowanie badali skały na pustkowiu, czasami nawet daleko od miejsca zamieszkania.

Czasami rodzeństwo wzywało przez Stacją Ziemię Czerwoną. Ale Ziemia Czerwona nie odpowiadała. Targ i Avra zaczęli więc nad nią krążyć samolotami, ale posłuszni prawu, nie ośmielili się lądować.

Ci, którzy jeszcze w Oazie tej wegetowali, nie raczyli nawet podnieść głowy, by popatrzeć na kołujące samoloty. Kataklizm i masowa eutanazja podziały na nich paraliżująco. Gaśli w oczach, choć przecież Prawo pozwalało żyć tej garstce ludzi, nie liczącej więcej niż trzydzieści osób.

Pewnego jesiennego poranka Targ i Avra zaplanowali przelot nad drogami łączącymi Oazy Równikowe z Ziemią Czerwoną. Na pewnym odcinku trasy mieli zboczyć z kursu. Avra miała pozostać w przydrożnym postoju-schronisku. Targ miał polecieć dalej w pustkowie, by spenetrować okolicę pod kątem istnienia wody. Porozumiewać się mieli między sobą i z Ere pozostawioną wraz z dziećmi w domu za pomocą przenośnej długofalówki. Ere wydawała się bezpieczna. Zagrozić jej mogła tylko Ziemia, już nie matka, lecz od dawna morderczyni. Ale w szpony Ziemi mogli wpaść także Targ z Avrą.

Dzieci podrosły i przedwcześnie zmądrzały. Zasobem wiedzy dorównywały dorosłym. Dwoje starszych, syn Mano i córka Targa, potrafiły doskonale obsługiwać wszelkiego rodzaju przyrządy i aparaty. Mimo że rodzina była samowystarczalna i doskonale mogła się upilnować bez Targa, Strażnik

poszedł – w przeddzień odlotu – na inspekcję Oazy i okolic. Wszystko było w jak najlepszym porządku.

Tuż przed odlotem dwie rodziny zebrały się koło samolotów. Jak przed każdą dłuższą podróżą, wszyscy byli wzruszeni. Małą grupą ludzi, w której skumulowała się wola życia na tej ziemi, oświetliły promienie słońca. Zamieszkujący Ziemię Czerwoną nie liczyli się już.

To już nie były żywe istoty – to były fantomy.

Targ objął rodzinę kochającym spojrzeniem. Córka, również jasnowłosa, tuliła się do matki. Obie wyglądały tak, jakby promieniowały złotą świetlistością...

Reszta dzieci smagła i czarnooka. Po Targu odziedziczyły ogniste spojrzenie. Dzieci Mano, po nim, łagodność charakteru.

– Och! – zawołał Targ. – Jak ciężko od was odejść. Ale wspólna podróż była niebezpieczniejsza.

Dzieci nie protestowały. Wiedziały, że muszą zostać. Wiedziały też, że ocalenie zależy od

wody. Także to wiedziały, że Oazy trzeba strzec. Zresztą – przecież były jeszcze Stacje Nadawczo-Odbiorcze.

– Naprzód! – zdecydował Targ.

Maszyny uniosły się. Powietrze od rana było szafirowo-perłowe.

Ere patrzyła na samoloty, dopóki nie zniknęły w przestworzach. Kiedy nie było Targa i Avry, życie stawało się dla niej ciężarem. Bez przerwy śledziła okolicę, a każdy samodzielny krok dzieci budził w niej najwyższy niepokój. Przyczyną jej lęku nie była otaczająca rzeczywistość. Wcale nie bała się Ferromagnetycznych ni świata Mineratów. Panicznie bała się nieznanych ludzi, którzy mogli wynurzyć się z nienacka z nie zamieszkałego przez nikogo bezmiaru.

Czasami śmiała się z siebie i tych lęków. Mogłyby mieć one jakiś ostrzegawczy sens, gdyby należała do generacji Pierwszych, a nie Ostatnich Ludzi na ziemi. Kiedy jednak Oazę zaczynały spowijać woale ciemności, przestawała rozumować i drżała jak liść.

Targ i Avra pikowali prosto w niebo. Kochali szybkość. Mimo tylu podróży, nadal uwielbiali mierzyć się z czasem i przestrzenią. Kiedy wznosili się w górę, wydawało się im, że to oni zwyciężają ponurą planetę, która otwierała pod nimi paszcze przepaści i szczyty ku nim kły górskich szczytów. By zatriumfować – wystarczył jeden ruch drążka sterowego. Wtedy nawet silniki wzbijających się w niebo samolotów wtórowały im w zwycięskim hymnie radości. W takim stanie nawet Ferromagnetyczni wydawali się Avrze i Targowi godni litości. Przyszpileni do ziemi, musieli na niej wieść swój ociężały, powolny żywot. Powietrzne igraszki nie przesłaniały jednak rodzeństwu rozeznania, kto tak naprawdę jest zwycięzcą, a kto zwyciężonym. Do kogo należy czas. I komu Ziemia oddawała swe przestrzenie. Brat i siostra wiedzieli też doskonale, że nadejdzie kiedyś taka chwila, kiedy kolejne pokolenie Tamtych, teraz tylko biernie obecnych na globie, nad tym globem świadomie zapanuje, wydzierając mu najtajniejsze tajemnice.

Podczas lotu rodzeństwo zdecydowało się na podróż do Ziemi Czerwonej. Rwały się tam ich serca pełne miłości, żalu, obawy i wyrzutów sumienia. Ziemia Czerwona była przecież – poza Oazą Wydm – jedynym miejscem na ziemi, gdzie jeszcze żyli bliźni, bez których planeta przekształciłaby się w cmentarz-urągowisko; świat cały – w pustynię, na której lęgną się koszmary.



Czerwona Oaza nie zmieniała się od czasu, kiedy widzieli ją po raz ostatni. Dachy domostw, Główna Stacja, garaże pojazdów naziemnych, hangary samolotów, olbrzymie maszyny zdolne wydrzeć z najgłębszych otchłani wodę – skrzyły się w promieniach słońca. Na polach wegetowały jeszcze ostatnie rośliny uprawne...

Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak, jakby człowiek nadal był panem świata. Po przyjrzeniu się – widok z sielankowego przerażał się w koszmarny. Wszędzie stały bezużyteczne już maszyny, bezużyteczne sprzęty, wokół słał się bezużyteczny świat.

Bardziej niesamowicie bezużyteczna mogła być tylko struga światła, która błądzi w przestrzeni międzygwiazdnej, niczego nie oświetlając.

Targ i Avra nigdzie nie widzieli ludzi. Przeszył ich dreszcz trwogi.

– Czyż wymarli wszyscy? – wyszeptła Avra. – I tak mogło się stać – odpowiedział Targ.

Skierowali samoloty na tak niski pułap, że ryzykowali zderzenie z platformą Stacji lub dachem jakiegoś wyższego domu. Poraziła ich cisza i cmentarny bezruch Oazy. Wiatr nie wiał. W nieruchomym powietrzu nie unosił się nawet najlżejszy pyłek. W oddali tajemniczo fosforyzowali Tamci.

Targ zdecydował się wylądować na platformie Stacji. Wiedział, że wibracje turbiny włączą sygnał alarmowy nadajnika. Kiedy ów sygnał rozległ się, Avra krzyknęła: – Ludzie!

Targ natychmiast poderwał maszynę. Na progu jednego z domów Oazy ukazali się dwaj mężczyźni. Choć żałośnie wynędniali – byli jednak w oczach Targa nadal przedstawicielami rodzaju ludzkiego i Prawa. Prawa, które szanował każdym włosem swego jestestwa. Prawa świętego, nietykalnego,

choć okrutnego. Wyrokiem tego Prawa, jako zbieg, został skazany na wieczną banicję. Nie wolno mu było kontaktować się z mieszkańcami Oazy. Przemógł się jednak i odmawiającym mu posłuszeństwa głosem wyjąkał: – Ilu was jeszcze jest?

Twarze mężczyzn, bladonie, były zaskakująco pogodne. Jeden z nich odpowiedział: – Pięcioro... Ale wieczorem będziemy już wolni.

Serce Strażnika na moment stanęło. Z zamglonego wejścia mężczyźni wyczytało, że poddali się eutanazji.

– Czy możemy wylądować? – spytał kornie. – Prawo nam tego zabrania...

– Nie ma już Prawa – padła cicha odpowiedź. – Przestało istnieć z chwilą, kiedy zaakceptowaliśmy jedyne wyjście z sytuacji...

Z domu wyszły na próg jeszcze trzy postacie, dwóch mężczyzn i kobieta.

Targ i Avra wylądowali.

Zapadła cisza. Strażnik chciwie wpatrzył się w twarz bliźnich, w których zamieszkała już śmierć. Nie uratowałyby ich już żadna odtrutka. Nawet taka nie istniała.

Młoda kobieta, bledsza od mężczyzn, była już tylko zwiędem przeszłości. Targ wykrzyknął: – Dlaczego wybraliście śmierć? Nie macie już więcej wody?

– A co nas obchodzi woda – wyszeptała młoda kobieta. – Po co mieliśmy żyć? Po co żyli nasi przodkowie? To przez jakieś niezrozumiałe szaleństwo ludzie przez całe tysiąclecia opierali się na siłą jednoznacznemu wyrokowi natury. Przez jakiś niezrozumiały pęd do przetrwania.

Do odradzania się w świecie, który nigdy do człowieka nie należał. Akceptowaliśmy podłą, godną najwyższej wzdargi egzystencję tylko po to, by nie zniknąć z powierzchni ziemi.

Jak to było w ogóle możliwe, że upieraliśmy się tak długo? Umrzeć jest przecież tak słodko.

Mówiła wolno i wyraźnie. Jej słowa śmiertelnie raniły Targa.

Każdy, nawet najmniejszy fibr jego ciała wzdragał się przed taką bezgraniczną rezygnacją. Radość bijąca z twarzy konających była mu obca, niepojęta. Nie wyrzekł jednak ani słowa. Nie miał najmniejszego prawa zaprawiać goryczą nadziei ostatnich chwil tych ludzi. Ich śmierć była nieunikniona.

Młoda kobieta przymknęła oczy. Mówienie wyczerpało ją. Oddychała coraz wolniej. Oparła się o ścianę budynku i powtórzyła:

– Umierać jest tak słodko.

Jeden z mężczyzn dodał: – Za chwilę będziemy uwolnieni.

Nikt więcej się nie odezwał. Młoda kobieta położyła się na ziemi.

Zrobiła się sina, prawie już nie oddychała. Otworzyła oczy. Popatrzyła na Targa i Avrę z czułą litością:

– Wy chcecie cierpieć. Jakież to szalone.

Jej uniesiona ręka z wolna opadła. Usta zadrżały. Poruszyła się raz ostatni i zagasła, łagodnie i cicho, jak zapadająca za linię horyzontu małeńka gwiazda.

Czterej towarzysze patrzyli na nią spokojnie. Byli szczęśliwi. Jeden z nich rzekł: – Życie nigdy nie było godne pożądania. Nawet wtedy, kiedy ludzkość była potęgą...

Targ i Avra, porażeni, milczeli. Potem pieczołowicie owinięli ciało kobiety całunem. Stracili odwagę, by pozostać do końca z mężczyznami.

– Odlećmy, Avra – poprosił łagodnie Targ.

Kiedy samoloty wzbiły się w niebo, powiedział:

– Od dzisiaj my, nasza rodzina, jesteśmy ostatnią i jedyną szansą dla naszego gatunku.

Avra, połykając łzy, odpowiedziała:

– Jak dobrze było mieć świadomość, że w Ziemi Czerwonej jeszcze tli się życie. To było takie pocieszające. A teraz... Teraz!...

Wskazała ręką pustkę pod nimi. Z dna rozpaczy zawołała:

– Wszystko skończone, bracie mój!

Targ opuścił głowę. Przemógł bolesny żal. Oczy mu zabłyśły.

– Tylko śmierć zwycięży moją nadzieję!

Przez wiele godzin samoloty leciały nad świetnie widocznymi liniami dróg. Kiedy ukazała się okolica, dla której przedsięwzięto podróż, Targ zmienił kurs. Avra wylądowała przy postoju-schronisku.

Miała w nim czekać powrotu brata. Targ oddalił się w nieznaną. Głośnik Stacji postojowej rozbrzmiał głosami Ere i dzieci.

Ścielący się w dole teren zaskakiwał dzikością. Targ omal szorował podłożem ziemię, potem maszyna jego strzelała gwałtownie w górę i Strażnik oddalał się, by przebadać inny kawałek pustkowia.

Tak doleciał do gór. Z daleka udawały niebotyczną, rdzawą fortyfikację. Z bliska masyw przerażał czarnymi przepaściami. Wszędzie widać było ślady gwałtownego trzęsienia ziemi. Skały miały wygląd poszarpanych przez kły dzikiego, gigantycznego zwierza. Niektóre z nich sterczały tak ukośnie, że za lada drgnięciem mogły runąć w pustkę bez dna.

Samolot długo zataczał kręgi nad tym wstrząsającym krajobrazem.

Większość przepaści była tak szeroka, że maszyna mogła nimi kilometrami schodzić w dół, o nic nie zważając.

Targ zaświecił promiennik i wszczął poszukiwania. Zdał się na los szczęścia. Najpierw wprowadził samolot w rozwartą szeroko u podnóża jednej z gór wykrot. Doznał śmiesznego uczucia, że w wykrocie tym światło rozpiezchło się jakby w panice, nie mogąc sięgnąć dna. Zawrócił.

Druga studnia wiodąca do wnętrza planety była łaskawsza, ale i z niej wycofał się szybko.

Trzecie nurkowanie w otchłań było oszałamiające. Maszyna musiała zejść aż na dwa tysiące poniżej powierzchni ziemi, by Targ mógł wreszcie zobaczyć dno w kształcie trapezu. Jego bok miał około dwustu metrów. Powierzchnia ziała kawernami. Na spenetrowanie jednej tylko kawerny Targ potrzebował aż godziny. Prawie wszystkie kończyły się ślepo. Tylko jedna z nich miała galerie, lecz zbyt wąskie, by mógł nimi przecisnąć się człowiek.

– Nieważne – mruknął Targ, szykując się do powrotu. – Jeszcze tu wrócę.

Nagle poczuł się tak samo dziwnie jak dziesięć lat temu, kiedy szukał w górach wody po kataklizmie. Wyjął szybko hydroskop. Popatrzył na jego wskaźniki i krzyknął tryumfalnie. W kawernie była wilgoć!

### XV. UMARŁA OAZA

Targ wracał do samolotu zac zadzony wprost nieopisaną radością.

Powiedział do siebie na głos: – Teraz nie mogę zrobić niczego więcej. Aby dotrzeć do wody, trzeba znaleźć możliwą do przejścia galerię lub wydrążyć korytarz. To kwestia czasu lub wszczęcia odpowiednich prac. Jeżeli odkrycie wody wymaga tylko czasochłonnego szukania, to musi być razem ze mną Avra. Jeżeli wszystko zależy od robót – muszę wracać do Oazy Wydm i przetransportować tutaj maszyny do kruszenia skał i generatory energii.

Ustalając w myślach szczegóły akcji, wsiadł do samolotu i wy dostał się na powierzchnię ziemi. Nastroił przenośną długofalówkę i nadał sygnał.

Avra nie odpowiedziała.

Zdziwiony nadał silniejszy sygnał. Odpowiedzi nie było. Zaniepokoił się, przestroił nadajnik na emisję sygnału we wszelkich możliwych kierunkach. Milczenie odbiornika doprowadziło go do szału – bał się, że Avrze coś się stało. Uspokoił się nakazem woli: może siostra zasnęła tylko tak mocno, że nie słyszy? Lub z nie wiadomo jakiej przyczyny przeniosła się do innego postaju-schroniska? A na tym innym postaju – może nie działa Stacja?

Kolejnej serii sygnałów Targ nadał maksimum intensywności. Fale o takiej mocy winny były podziałać na receptory Stacji postaju-schroniska tak, by głośniki wprost rozryczały się, budząc Avrę nawet z najgłębszego snu. Uszu jego nie dobiegł nawet szmer odpowiedzi. Zatem siostra opuściła postój. Nie zrobiłaby tego dla błażej przyczyny. Wsiadł do samolotu i wystartował całą mocą silników.

Po trzech godzinach przez pokładowy teleskop zobaczył postój, na którym zostawił Avrę. Nie tylko na nim, ale i w okolicy nie było jej.

Oddaliła się. Ale dokąd? Dlaczego? I to bez samolotu. Samolot jej stał na pasie. Odeszła na piechotę!

Ostatnie minuty lotu były nie do zniesienia. Wydawało mu się, że maszyna nie zbliża się do celu. Oczy przymgliła mu gorączka. Wreszcie wylądował i rzucił się na poszukiwania siostry. Nagle krzyknął tak, że omal nie pękły mu płuca. Po stronie równiny, u stóp pionowego prawie, wysokiego obwałowania chroniącego drogę, leżała Avra.

Tak samo sinoblada jak poddana eutanazji młoda kobieta z Ziemi Czerwonej. Ze wszystkich stron otaczali ją Nowi-Giganci...

Targ zaczął działać jak błyskawica. Umocował na obwałowaniu elastyczną drabinkę i spuścił się w dół. Chwyił Avrę w ramiona i wspiął się razem z nią na drogę.

Siostra nie dawała znaku życia. Leżała bezwładnie. Targ uklęknął i przycisnął głowę do jej piersi, chcąc uchwycić bicie serca... Drżącymi rękami przytknął do jej ust hydroskop. Delikatny instrument wychwyił cień pary: oddychała! A już wydawało mu się, że tajemnicza energia,

zwana życiem, opuściła ją...

Była tylko zemdlona i prawie śmiertelnie zagrożona utratą czerwonych ciałek krwi. Szczęściem, Targ nie wyruszał w podróż bez podręcznej apteczki. W niewielkim odstępście czasu wstrzyknął Avrze dwie dawki lekarstwa pobudzającego pracę serca. Zaczęło bić wyraźniej, choć jeszcze słabo. Ocknęła się i wyszeptała: – Dzieci!... Ziemia!...

I zasnęła. Targ nie budził jej. Ograniczył się do tego, że co trzy godziny aplikował jej kilka miligramów specyfiku odtwa-

rzającego w organizmie czerwone ciała. Trzeba było aż dwudziestu godzin, by Avra choć na krótko mogła otworzyć oczy. Bezpośrednie zagrożenie utraty życia już minęło. Teraz potrzebowała tylko snu. Najgorsze miała już za sobą. Targ znał dobrze psychofizyczną strukturę siostry i nie obawiał się żadnych ubocznych skutków tak wielkiej utraty czerwonych ciałek i końskich dawek aplikowanego lekarstwa. Ale był zrozpaczony. Przecież cała ta historia nie miała sensu. Dlaczego Avra spadła z nasypu? Zawsze była taka ostrożna, zręczna i zwinna.

Czyżby skoczyła specjalnie?

Co robić? Czekać na postoj, aż nabierze sił? To potrwa ze dwa tygodnie. Chyba lepiej odlecieć do domu, do Oazy Wydm. Przecież i krater, i odkrycie, którego dokonał – wszystko to mogło spokojnie poczekać... Podeszedł do Stacji, nadał sygnał. Ale odpowiedzi od Ere i dzieci nie otrzymał. Sytuacja tak niedawno przeżyta powtórzyła się.

W jednej sekundzie spocił się ze strachu. W eter poszły sygnały omal nadnormalnej siły. Niestety – bez echa. Stało się oczywiste, że Ere i dzieciaki z jakiegoś powodu albo sygnałów nie słyszą, albo – nie są w stanie na nie odpowiedzieć!

Obydwie możliwości były zatrważające. Kolana trzęsły się mu tak, że musiał, żeby nie upaść, przyłgnąć plecami do wspornika Stacji.

Nie był w stanie podjąć żadnej decyzji. W końcu oderwał się od wspornika, posępny i zdecydowany. Dokonał przeglądu samolotu, umieścił w nim Avrę i poderwał maszynę do lotu.

Był to lot koszmarny. Aż do zmierzchu Targ zrobił tylko jeden postój, i to tylko w tym celu, by z przydrożnej Stacji nadać do Oazy Wydm jeszcze jeden sygnał wywoławczy... Odpowiedziała mu cisza.



Otulił siostrę w pled i dał jej zastrzyk wzmacniający serce. Odleciał.

Zauważył, że ciągle śpiącą Avrą wstrząsnął jakiś dreszcz.

Prowadził maszynę całą noc. Świeciły gwiazdy. Było wyjątkowo zimno. Na dwie godziny przed świtem zobaczył wreszcie konstelacje południowej półkuli. Serce zabiło mu ze wzruszenia na widok Krzyża Południa.

Pomyślał, że dla tych ludzi, którzy mogli patrzeć na niebo przez osłonę listowia, niebo musiało mieć wyjątkowy urok. Że musiało być wtedy wspaniale tajemnicze i obiecujące. Zwłaszcza kiedy światło słońca, tej lampy wieczności, zakrywały srebrzystoperłowe chmury.

Pożałował chmur, których już od dawna nie było na nieboskłonie. Na wschodzie niebo zaróżowiło się. Znad widnokregu wychynął olbrzymi słoneczny dysk. Oaza Wydm była już blisko. Dzięki pokładowemu teleskopowi mógł już nawet zobaczyć płonące rumieńcem poranka dachy domostw.

Avra ciągle spała. Była już nie tak trupiosina jak wieczorem.

Można też było wyczuć jej tętno. Skórę miała mniej przezroczystą.

To było dobre, bo przezroczystość skóry zwiastowała zwykle rychły zgon.

– Niebezpieczeństwo minęło. Jest ocalona – ucieszył się Targ. Jego niepokój nieco zelżał.

Całą swą czujność zwrócił ku Oazie. Szukał wzrokiem swego domu. Zakrywały go jeszcze dwa wzgórza. Kiedy je przeleciał – doznał wstrząsu. Szarpnął gwałtownie sterami. Samolot runął w dół jak raniony ptak.

## AGONIA

Jego domu nie było. Niczego nie było. Żadnego hangaru ani spichrza. Wszystko zniknęło: samoloty, pojazdy naziemne, garaże – wszystko!

### XVI WIECZNA NOC

Pikujący samolot był już o krok od zderzenia z ziemią. Targ machinalnie poderwał maszynę do góry. Zakołował i wylądował. Sparaliżowany bólem, patrzył na zdewastowany teren. Gdzieś w zwałowisku musiały leżeć zwłoki tych, których ukochał bardziej od siebie samego. W głowie miał kompletny chaos. Nie zastanawiał się nad przyczyną kataklizmu. Postrzegał tylko jego potworną żarłoczność. Oczami duszy widział obrazy: najdrożsi w chwili pożegnania; otwierają się czeluście; strach na ich twarzach; wołają go; w nim pokładają nadzieję; tymczasem on, w chwili ich zgonu, wyobraża sobie, zadufany, że przemógł właśnie fatalizm losu.

Żaden z sejsmografów nie zarejestrował trzęsienia. Zresztą ziemia nie pochłonięła całej enklawy, tylko właśnie ten jej kawałeczek, tę ociupinę zamieszkaną przez człowieka. Reszta pozostała nietknięta.

Musiało zatem nastąpić katastrofalne tąpnięcie warstw geologicznych, które w poprzednim kataklizmie poprzemieszczały się tak podstępnie, iż nawierzchnia wyglądała do tej pory jak opoka, na której można zamieszkać. Czyż można było powiedzieć, że to morderstwo zostało popełnione przez naturę z premedytacją? Wyglądało przecież na czysty przypadek. Na konwulsyjną drgawkę planety. Tyle że drgawka ta nastąpiła z woli kosmosu, który człowieka skazał i wyrok wykonał.

Rozdzierający żal nie sparaliżował Targa. Strażnik zaczął przeszukiwać ruiny. Nie znalazł niczego. Generatory energii, akumulatory, maszyny do drążenia podkopów, do kruszenia granitu, samoloty, pojazdy, domy – wszystko zniknęło. Ciało Ere i dzieci trzeba było szukać, zdając się na przypadek.

Targ poszedł na północ, by z tamtego zakątka Oazy zabrać maszyny potrzebne do odgruzowywania. Przywiózł je i zaatakował rumowisko.

Automatycznie sterowane lewary zaczęły podnosić i odrzucać na bok skalne bloki. Maszyna robiła wykop wolno i tak zmyślnie, by nie zawalić niczego. Miażdżyła głązy, a jej elastyczne, czujne ramiona chwytaly i odkładały drobnicą. Kiedy skiba wykopu miała już ze dwadzieścia metrów, Targ zobaczył wreszcie szczątki samolotów i Głównej Stacji, jej zdruzgotane wsporniki i oprzyrządowanie. Przy założeniu, że śmierć dopadła rodziną niedaleko domu – musiał kopać w kierunku zachodnim. Jeżeli Ere i dzieci próbowaly uciekać do Stacji, by nadać sygnał do Ziemi Czerwonej – musiał kopać ku południowemu zachodowi. Ustawił maszyny w dwu miejscach i rozpoczął wszystko od nowa.

Ulepszane przez wiele ludzkich generacji, omal zhumanizowane maszyny miały nieprawdopodobną moc przebicia i delikatność najzręczniejszych palców. Odgruzowywały i odsuwały ziemię tak równomiernie, bez gwałtownych szarpnięć, bez niebezpiecznych zrywów, że wystarczyło muśnięcie oprzyrządowania, by je właściwie zorientować, przyspieszyć czy też

zastopować prace.

Pierwszemu w dziejach człowiekowi nie mogło się nawet przyśnić, jak olbrzymią mocą techniczną będzie władał ostatni w dziejach człowiek.

Targ zobaczył zniekształcony, pogięty dach swego domu. Zatrzymał lewary. Patrzył na dach ze zgrozą i wariacką tęsknotą. To pod nim, po wylądowaniu w Oazie, znalazły schronienie czułość, marzenie i nadzieja ostatniej ludzkiej rodziny...

Strażnik bał się wszcząć pracę. Potem, poszerzywszy wykop, wśliznął się przez otwór w dachu do domu.

W pokoju, w którym był, nie znalazł nikogo. Skały zmiażdżyły łoże. Ze stołu zostały szczątki. Z aluminiowych garnków – płaskie krążki.

Śmierć przedmiotów nie zrobiły na Targu wrażenia, była to przecież tylko destrukcja materii, gdyby nie obwieszczała dramatu ludzkiego. Drżąc poszedł do drugiego pokoju, I tu nie znalazł nikogo. I to pomieszczenie było całkowicie zdewastowane.

Systematycznie, kąt po kącie, przeszukał cały dom. – Może – zaczął mówić sam do siebie – może wszyscy wybiegli na zewnątrz.

Usiłował wyobrazić sobie, o czym mogła pomyśleć Ere. Nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Tylko strzępy sprzecznych ze sobą wniosków. Jedno wydawało się niewątpliwe: skoro tu ich nie ma, muszą być przy Stacji. Nagle przypomniało mu się, co szeptała siostra, zapadając w letargiczny sen: „dzieci”, „ziemia”. Słowa te nabrały teraz sensu. Świadczyły o tym, że ktoś dotarł jednak do Stacji, by nadać sygnał. Stało się zrozumiałe, dlaczego Avra skoczyła z nasypu. Sprawdził, czy do Stacji nie można by się dostać przez podziemny, łączący ją z domem korytarz. Korytarz ten jednak był zawałony osuwiskiem. Musiał wyjść na zewnątrz i odsłonić go z góry. Tymczasem Avra przebudziła się. Musiał się nią zająć. Siostra otworzyła oczy i znowu zasnęła. Tym razem normalnie, ozdrowieńczo.

Odszedł od niej i zaczął prace odkrywkowe. W końcu odsłoniła się zmiażdżona łodyga wieży Stacji. Potem jej powyginana, błyszcząca kopuła. Wyłączył automat i zaczął ręcznie sterować lewarami... Nagle krzyknął jak śmiertelnie rażony... Z

ziemi błysnął promień włosów. Promień jasny i tak żywy, jak wtedy, kiedy zobaczył go po raz pierwszy w ruinach Ziemi Czerwonej, w dniu Wielkiego Kataklizmu.

Serce zabiło mu jak młot. Zaczął drżeć na całym ciele. Płakał. Zatrzymał maszyny. Pozwolił tylko, by metalowa, czulsza od jego palców chwytnia odsunęła ziemię.

Potem zatrzymał także chwytnię i przytulił do serca tę, którą tak miłował... Ere nie była zimna ani sztywna. Błysnęła w nim szaleńcza nadzieja. Jak w gorączce przyłożył do jej białych ust hydroskop...

Ale dusza z tego ciała odeszła już w wieczysty mrok.

Długo wpatrywał się w zwłoki Ere, tulił do siebie. Tylko ona mogła dać początek nowej

rasie. Przez chwilę wydało mu się, że to już się stało, że widzi przed sobą miliony jasnowłosych ludzi...

– Ere – wyszeptał. – Ere. Młodości świata. Ere, ostatnia nadziejo.

Serce w nim stwardniało. Dusza w nim umarła. Złożył na włosach Ere ostatni pocałunek i odszedł do dalszych poszukiwań. Wydobył wszystkich. Świat minerałów okazał się dla rodziny mniej bezduszny niż dla Ere. Oszczędził dzieciom mąk powolnego konania, miażdżąc czaszki, otwierając serca, płaszcząc ciała... Targ rzucił się na ziemię i rozdzierająco zapłakał. Rozsadzały go ból i żal, także wyrzuty, iż miał czelność walczyć z wyrokiem kosmosu. Słowa umierającej młodej kobiety z Ziemi Czerwonej maltretowały jego udręczoną jaźń...

Poczuł, że ktoś go dotyka. Zerwał się. Przy nim stała, ślaniając się na nogach, Avra. Była blada. Nie płakała. W jej oczach, pełnych bezbrzeżnej rozpacz, nie tliła się nawet isierka świadcząca o woli przeżycia. Powiedziała bezbarwnie, cicho: – Trzeba umierać.

Popatrzyli na siebie. Kochali się głęboko przez całe życie. Nadzieje, cierpienia, nieszczęścia były tylko spoiwem dla ich miłości.

– Trzeba umierać – powtórzył jak echo Targ.

Objęli się. Po raz ostatni do człowieka przyłgął człowiek. Po raz ostatni serce zabiło przy sercu...

Avra podniosła do ust fiolkę, z którą nie rozstawała się nigdy... Doza była duża, Avra zaś tak bardzo już osłabiona...

– Śmierć – wyszeptała konając i, połykając sylaby, dodała:

– Ach, jak mogliśmy się jej obawiać.

Jej oczy zamgliły się. Leżała szczęśliwa.

Przestała myśleć. Ostatni oddech uniósł jej pierś.

Na planecie pozostał już tylko jeden człowiek. Targ usiadł. Zatopił się w żalu i wspomnieniach. Po raz ostatni odbywał podróż, wielką podróż po Zaranie Dziejów. Po raz ostatni wyobraził sobie praocean. Ciepły, obfitujący w pozbawione świadomości byty. Potem byty te przeniosły się na ziemię, stając się świątynią słońca uzyskały świadomość, choć jeszcze niepewne, niedojrzałe, nieme.

A kiedy minęły miliony lat, insekty, płazy i gady zamieszkały w lasach gigantycznych paproci i skrzypów. Gady były równie monstrualnych rozmiarów, co otaczający las. Kolosalne pterodaktyle krążyły nad mokradłami. Wtedy urodził się pierwszy ssak. Zesztywniały z zimna, bezrozumny. Trzeba było, iżby minęły wieki, by nabrał tyle ciała, co iguanodon. Tysiąclecia całe jego istnienie pozostawało beznadziejnie niezauważalne. Ale przecież trwał. Aż nadszedł jego czas. Stał się mocarny i obecny wszędzie, w każdym zakątku mrocznej puszczy, na każdym skrawku sawanny. Teraz on miał wygląd kolosa. On: ssak gigant. On – mastodont. On – nosorożec o skó-

rze dębu. Hipopotam o nienasyconym brzuchu. Niedźwiedź, tur, tygrys

o szablasytch kłach. Lew olbrzymi. Niedźwiedź skalisty.

Wieloryb tak wielki, jak wiele diploducusów naraz. Kaszalot o paszczy rozwartej jak krater.

On: człowiek.

Królestwo człowieka było najkrótsze, najsilniejsze i ostatnie. To człowiek pierwszy zaczął niszczyć życie. Za jego sprawą wymarły lasy i wyginęła zwierzyna. Pod jego ręką kata legła w gruzy nawet tajemnica atomów.

- A kiedy człowiek władczo przeniknął tajemnicę atomów, zaczęła się powolna agonia ludzkości - pomyślał Targ.

Przeszył go do trzewi bolesny dreszcz. Płomyczek życia przeniesiony z praoceanu w dziewicze pralasy, do serc sawann, w bezdenne moczary, na pustynie - właśnie teraz zagasa, tłąc się jeszcze tylko w nim...

Zapadła noc. Na firmamencie zajarzyły się gwiazdy. Oglądało je morze ludzkich istot. Teraz podziwiać je mogło już tylko dwoje oczu ostatniego w czasie i przestrzeni człowieka.

Targ odszukał ulubione gwiazdy. Pożegnał się z nimi. Wyciągnął ku wschodzącemu księżycowi osamotnione ramiona.

Zaszlochał. Koło niego stanęła cicho śmierć. Nie wypił zbawczego, czarodziejskiego płynu Ostatnich Ludzi poddających się eutanazji.

Wstał i wyszedł z ruin, by położyć się na piaskach pustkowie.

Wśród Ferromagnetycznych.

W niesamowitej ciszy, ciszy wprost pokornej - krew ostatniego człowieka wniknęła ożywczo w Tamtych.